

Z WYSTAWY „SZTUKI". PROF. T. AXENTOWICZ: „DZIEWCZYNA Z DZBANKIEM"
Fot. Jan Ryś

5 • III
1932

ŚWIAT

N • 10

OD ADMINISTRACJI

UPRASZAMY SZ. NASZYCH PRENUMERATORÓW O ŁASKAWE WPŁACENIE ZALEGŁEJ PRENUMERATY. PRZYPOMINAMY, ŻE CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ NA MARZEC 1932

CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ROK XXVII

ŚWIAT

NR. 10

WARSZAWA, DNIA 5-go MARCA 1932 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

B. nasz chargé d'affaires w Tokio, znawca spraw Dalekiego Wschodu, p. radca Jan Fryling skreślił dla „Świata" sylwetę miasta, którego nazwa jest dziś na ustach wszystkich

SZANGHAJ

Nad tem miastem wypisuje dziś swoje wyroki historja. Pisze je znakami tak dla nas zawiłemi, jak hieroglify chińskiego pisma. Może daleka dopiero przyszłość nauczy znaki te rozumieć, może pozwoli nam przeniknąć ich treść ukrytą.

Dziś spójrzmy wstecz, zbierzmy trochę faktów już niewątpliwych, już zapisanych w rejestrach dziejów. Starajmy się tą drogą choć w części pojąć sens obcobrzmiącego dla nas słowa: Shanghaj.

W roku 1840 chiński komisarz cesarski w Kantonie, Lin-Tse-hsü usiłował wstrzymać import opjum do Chin środkami tak gwałtownemi, iż stały się one przyczyną wojny chińsko-angielskiej, zwanej powszechnie wojną opjumową, a zakończonej w r. 1842 traktatem nankińskim. W traktacie tym Chiny, prócz odszkodowania, zobowiązały się odstąpić Wielkiej Brytanji Hongkong, a miasta Kanton, Amoy, Shanghaj, Foochow i Ningpo otworzyć dla handlu zagranicznego. Przed tą datą przybijały do brzegów Shanghaju jedynie chińskie dżonki i nic nie wróżyło, że z czasem mała nadbrzeżna mieścina stanie się głównem emporjum handlowem Dalekiego Wschodu.

Rozwój Szanghaju, liczącego dziś około 2 miljonów mieszkańców, datuje się od przybycia tam Anglików w r. 1842 i powstania w tymże roku — jakbyśmy powiedzieli, używając współczesnej terminologji — koncesji angielskiej.

W r. 1849 wybucha w południowych Chinach, w Kwangsi, powstanie taipingskie. Na czele jego staje Hung Hsiu-chüan, mając za sprzymierzeńców anarchję, panującą w państwie i głód, który pustoszył jego obszary. Pokonawszy w szeregu bitew wojska rządowe, Hung opanował prowincję Kwangsi, założył tam w roku 1851 Królestwo Wielkiego Pokoju, Tai-ping Tien-kuo, siebie samego zaś nazwał Niebiańskim Królem. Wodzów swych wojsk opłacał sowicie, a zwolennikom zabronił golenia głów według mody mandżurskiej. Stąd pochodzi nadana im nazwa „kudłatych buntowników". Pochód armji Hunga na północ był tryumfalnym pochodem zwycięzcy, a w pewnej chwili podlegało mu 16 prowincyj. Zająwszy w r. 1853 Nankin, tam ustanowił swoją stolicę i tam począł tworzyć prawa i organizować administrację nowego państwa. Ogłosił on wolność niewolników, zabronił konkubinatu i prostytucji, zakazał barbarzyńskiego zwyczaju krępowania stóp kobietom. Zdawało się, że dynastja mandżurska stoi o krok od upadku. Ale zbiorowy wysiłek wiernych cesarzowi generałów, którym wydatnie pomagał angielski generał Gordon na czele armji, zwanej „zawsze zwycięską", doprowadził w roku 1863 do upadku Nankinu. Hung Hsiu-chüan zażył truciznę, Królestwo Wielkiego Pokoju upadło, powstanie taipingskie było skończone.

Podczas tego właśnie powstania napłynęły do Szanghaju całe masy Chińczyków, którzy na terenie kon-



KONCESJA MIĘDZYNARODOWA W SZANGHAJU. BULWAR Z SIEDZIBAMI BANKÓW I WIELKICH DOMÓW HANDLOWYCH, ZWANY „BUND".

cesji angielskiej szukali schronu, pod opieką angielskich wojsk. Napływ ten jeszcze wzrósł, gdy w kilka lat po angielskiej powstały w Szanghaju koncesje amerykańska i francuska. Koncesja angielska i amerykańska połączyły się w roku 1863 w jedną całość, nazywającą się koncesją międzynarodową. Zarządy obydwu koncesji zostały rozdzielone, a rozwój ich, dzięki przywilejom, uzyskanym przez cudzoziemców w Chinach, uczynił z Szanghaju jedno z największych handlowych centrów świata.

Szanghaj leży na lewym brzegu Whangpoo-kiangu, dopływu Yangtse-kiangu, o 13 mil angielskich powyżej miejsca, gdzie obydwie rzeki łączą się i wpadają do Oceanu Spokojnego. Fale morskie na wielkiej już przestrzeni przed ujściem rzek zmieniają barwę i stają się żółto-szare, zmącone i brudne. Obok wyspy Tsung-min tau, gdzie obydwie rzeki stają się jedną, znajdował się fort Woo-sung. Depesze, które czytaliśmy w ostatnich dniach, każą o tym forcie pisać w czasie przeszłym.

Płyniemy pośród pustych, płaskich brzegów. Mijają długie chwile i wówczas dopiero zaczynają się pojawiać jakieś zabudowania, zbiorniki ropy i benzyny, niby olbrzymie, płaskie i okrągłe pudełka, fabryki i warsztaty. Znowu wielkie, puste przestrzenie, — aż nagle w polu widzenia pryzmatycznej lornetki zarysowują się kontury gmachów wyniosłe, niezliczone, olbrzymie. Stalowa straż wojennych statków barwi się tęczą przeróżnych flag. Na mętnych falach Wang-poo wyciągnęły one swoje szare cielska niby warujące psy: spokojne a baczne. Unoszą się na wietrze Gwiazdy Stanów Zjednoczonych, Krzyż Św. Andrzeja, krzyż Sabaudzki, Wschodzące Słońce, barwy Francji, Portugalji, a pośród statków handlowych czerwony znak, na którym skrzyżowane sierp i młot. Jakie towary jadą pod tym znakiem do Chin? Poniżej chmara chińskich dżonek. Wiatr wydyma ich kształtne żagle, na których szarem tle odbijają się wielobarwne mozajki łat.

Mijamy potworny kształt awiomatki, mijamy mnóstwo gmachów.

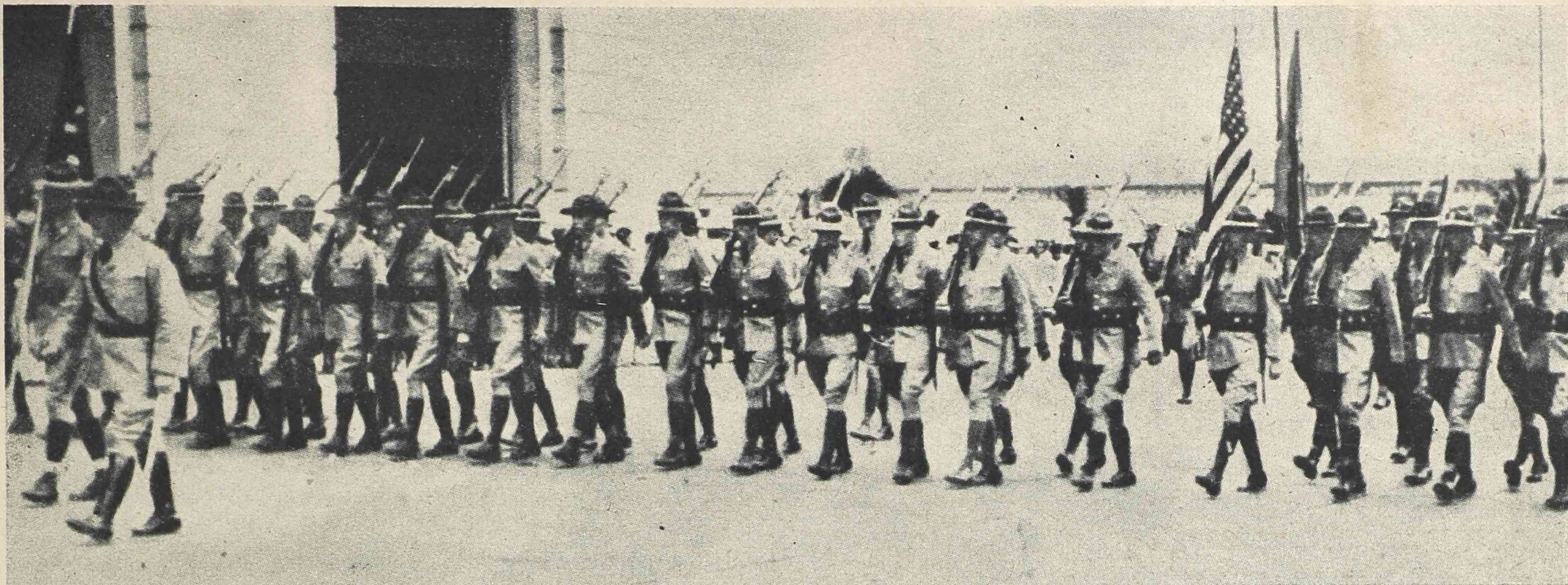
Statek zatrzymuje się. Mała szalupa dowozi nas do brzegu. Stajemy na słynnym szanghajskim Bundzie.

Trochę się jest oszołomionym. Czyż to są Chiny? W tłumie, który się tutaj przewala, w nieprzerwanym korowodzie tysięcy samochodów, widać zarówno bogate stroje chińskie, jak i płócienne kubraki kulisów, migają chybkie riksze i przesuwają się obarczeni ładunkami, zawodzący wieczną, monotonną pieśń żółci tragarze.

Ale — rzecz dziwna — jawią się oni tutaj niezauważeni prawie, gdyż zanim zdołaliśmy ich spostrzedz — wsiąknęli w przemożne tło Bundu. A cóż ma wspólnego to tło z naszem wyobrażeniem Chin? Hongkong - Szanghaj Bank, National City Bank of New York, Yokohama Specie Bank, Bank of Chosen, Taiwan Bank, International Banking Corporation, Banque de l'Indo-Chine, Deutsch - Asiatische Bank, Chartered Bank of India, Australia and China, Sino-Belgian Bank. Banki, banki, domy handlowe, towarzystwa ubezpieczeniowe. Wszystko to w gmachach wyniosłych o pałacowym zakroju, zdobnych w marmury i bronzy. Bez końca zda się ciągnąć litanja napisów, które czytać należy długo, uważnie, z namysłem. W tych może głoskach, kutych na kamiennych tabliczkach, pośród złoconych ozdobnych liter, ukryło się rozwiązanie rebusu, nazwanego przez Zachód — sprawą Chin. Twardym bastjonem stanęły bankowe twierdze nad brzegiem Wang-poo. Floty mocarstw otoczyły je stalową strażą. Gdzieś, poza ich Wielkim Murem ukryły się Chiny. Stąd ich nie widać.



DZIELNICA CHIŃSKA W SZANGHAJU. RUCHLIWA ULICA Z DROBNYM HANDLEM I RZEMIOSŁEM CHIŃSKIM, POŁOŻONA W CENTRUM SZA-PEI



ZAŁOGA AMERYKAŃSKA, BRONIĄCA KONCESJI MIĘDZYNARODOWEJ





UCIECZKA LUDNOŚCI CHIŃSKIEJ Z SZANGHAJU. BARYKADY NA ULICACH KONCESJI EUROPEJSKIEJ

Skręcamy w główną arterję międzynarodowego Szanghaju, w ulicę Nanking-Road. Tłumy przesuwają się wzdłuż wspaniałych wystaw, przed wysokiemi, niby katedra, hotelami, przed szklanemi ścianami restauracji, cukierni, kawiarni.

Powiedział ktoś, że do Szanghaju nikt nie przyjeżdża, aby tam umrzeć. Parę — kilka — kilkanaście lat gorączkowej, wytężonej pracy — i ucieczka, — powrót do siebie. Ale ten „szanghajski" okres życia starają się przybyli tu cudzoziemcy uprzyjemnić sobie jaknajbardziej. Znakomity plac wyścigowy, tereny do gry w polo, świetnie urządzone kluby. Przypuszczam, że szanghajski klub francuski jest ideałem tego rodzaju instytucji. Mnóstwo sal, werand, pływalni, około stu kortów tennisowych.

W klubie amerykańskim podają nam doskonałe lody. Mój towarzysz wyjaśnia mi, że lody te sprowadzają tu w blokach z Ameryki. Biali szanghajczycy dbają o swoje podniebienia.

Wieczorem wypełniają się niezliczone sale dancingów, od najwytworniejszych aż do mrocznych spelunek portowych, gdzie marynarze wszystkich narodowości przepijają swoje zarobki. Wchodzimy do najbardziej dystyngowanego dancingu „Little Club". Panowie we frakach lub smokingach, panie w toaletach balowych. Korpus dyplomatyczny i konsularny. Przyglądam się zebranym tu jegomościom. Szerokie, twardo zwarte szczęki, czasem w uśmiechu błysną wielkie, białe zęby. Ciężki przemysł — objaśnia mój towarzysz. Handel żywym towarem i opjum — dodaje po chwili.



PLASTYCZNY PLAN MIASTA SZANGHAJU

Na rogach ulic ogromni hinduscy policjanci w zawojach na głowie. Mały, suchy riksza przebiega wzdłuż chodnika. Widocznie biegł nie tak, jak trzeba, czy nie tam, gdzie trzeba, bo łapa policjanta Sikha chwyta go za ramię, a gumowa pała tłucze po łbie. Mały riksza podniósł rękę, jakby chcąc się uchronić przed ciosem. W jego skośnych oczach prócz bólu i przestrachu zamigotał jakiś dziwny błysk. Ten błysk to obietnica: nie zapomnę.

Często słyszy się język rosyjski: pod murem starzec w mundurze oficerskim, z orderem św. Jerzego na piersi, wyciąga rękę; w małym sklepiku były oficer sztabu sprzedaje przybory fotograficzne; były sztabskapitan jest policjantem. Nazywają go „rozstrzelanym policjantem", gdyż po jakiemś masowem rozstrzeliwaniu białych oficerów przez bolszewików, niedokładnie dostrzelony, wylizał się z ran i osiadł aż w Szanghaju. W trzeciorzędnych dancingach tancerkami są niemal wyłącznie Rosjanki. Przystojne, zniszczone kobiety. Każda jest córką oficera gwardji. Ktoś złośliwy oblicza, że na jednego oficera przypadałoby około tuzina córek. Ale kobiety te tak są nieszczęsne, że odchodzi ochota do żartów.

A potem przez bramę, przerywającą krąg drutów kolczastych, przez zasieki, przez wały ułożone z worków napełnionych piaskiem, pomiędzy licznemi szkieletami koni — wchodzimy do chińskiego miasta. Wierzyć się nie chce, iż uszliśmy zaledwie sto kroków. Przekraczając tę bramę, wykonaliśmy skok nad przepaścią ras, kultur, wieków i dziejów. Z przepychu koncesji wkroczyliśmy w mrowiący się padół nędzy. Patrzą na nas tysiące dziwnych, tajemniczych oczu. Patrzą ciekawie, czasem ze zdziwieniem, nigdy z nienawiścią, o której tyle nam mówiono, przed którą tyle przestrzegano.

Pośród ciasnych uliczek rojowisko pędzi swój żywot, ujęty w te same nawiasy urodzin i śmierci. Jakże jest inna treść nawiasu tu i tam, za obręczą drutów. Sklepy gnieżdżą się w małych domkach: tu za wystawą całe strumyki zielonej jady, ówdzie bielą się kamienie mahjonga, pstrzą desenie porcelany i błyszczą koronki sreber. Środkiem suną długie, hałaśliwe procesje pogrzebowe, czasami demonstracje polityczne, nie wiadomo przeciw czemu, czy za czem demonstrujące, pod przewodem haseł wypisanych na długich sztandarach. Pewnie tam w tych napisach powiedziano coś o poglądzie na świat przez czarne, okrągłe okulary chińskiego studenta.

Wieczorem, schodzącym już w noc, wchodzimy w dzielnicy restauracyj do chińskiej jadłodajni. Zjadamy wiele groźnych pozornie a doskonałych w istocie smakołyków chińskich. Więc zupę z pletwy rekina, gniazda jaskółcze i tyle, tyle innych.

W pewnej chwili staje przy naszym stoliku mała Chinka. Dziecko. Ma pewnie około 8-iu lat. Długa, chińska szata okrywa ją aż do kostek. Włosy związane w węzełek na tyle głowy, ucięte w grzywkę nad czołem. Policzki żółto-różowe. Białka porcelanowe, źrenice czarno-sine. Rączkę oparła na stole i patrzy na mnie spokojnemi, smutnemi oczyma. Laleczka. W pewnej chwili cieniutkim, dziecinnym głosikiem zaczyna śpiewać jakąś piosenkę. Śpiewa jedną zwrotkę i patrzy na mnie bez przerwy. Kładę na stole trochę drobnych. Dziecko zgarnia je, ale nie odchodzi. Piosenka rozbrzmiewa znowu. Pytam mego towarzysza, co to znaczy. Spokojnie wyjaśnia mi, że to jest dziewczyna publiczna.

A o tysiąc kroków od tego miejsca rozstrzygają się sprawy nie bylejakiej dla świata wagi...

Po niebie idą błyskawice.

Jan Fryling

Kornel Makuszyński do L. Solskiego — drugi list zamrożony



DAWNYM ZWYCZAJEM GÓRALI DWAJ „PYTACE“ NA PYSZNYCH SIWOSZACH PROWADZĄ UROCZYSTY ORSZAK PRZY WJEŹDZIE MAKUSZYŃSKIEGO, JAKO HONOROWEGO OBYWATELA ZAKOPANEGO I HONOROWEGO CZŁONKA ZWIĄZKU GÓRALI—DO PODGIEWONTOWEJ STOLICY TATR

„Sire,

przystoi Ci ten tytuł ze względu na jeszcze jednego króla, którego odstawiasz w Narodowym, a który będzie, zdaje się, dwudziestym w Twojej koronowanej kolekcji. Miło mi niezmiernie, że mój pierwszy list, kijkiem narciarskim na niepokalanym pisany śniegu, znalazł łaskę przed Twojem obliczem, przeto czemprędzej piszę list drugi, czyli nowy biuletyn o zakopiańskim, zlekka pomylonym żywocie, a dlatego pomylonym, że moja obecność zawsze i wszędzie wszelki rozsądek przyprawia o utratę równowagi. Jak długo mnie niema w Zakopanem, wszystko normalną toczy się koleją; zaledwie jednak ja się ukażę na horyzoncie, odbywa się to, co się odbywało w powieści J. Verne'a, w której pomysłowy jeden jegomość dziwnym gazem tak oszołomił ospałe i gnuśne miasteczko, że najpoważniejsi i najbardziej stateczni obywatele, rozpromieniwszy gęby, zaczęli pożądać radosnego szaleństwa. Klątwa wlecze się za mną, jak ogon za pawiem, albo jak za Tobą sława i tren królewskiego płaszcza. Jestem, jak człowiek, co roznosi tyfus, sam o tem nie wiedząc. Ja roznoszę szaloną, nierozumną chorobę: pogodę ducha i wiarę w tryumfalną radość życia. Na śnieżystości krajobrazu wyglądam, jak czerwona wrona, co wlazła pomiędzy czarne i czarno kraczące i drę się, jak opętany, wołając, że chociaż wszystko w nas zagasło, słońce nie zagaśnie, że wiosna jest już niedaleko i już się wdrapuje na górę od południowej strony i że nadzieja zakwita, jak krokusy na śniegu i że podniesieniem ducha i wielkiem, miłosnem natężeniem serca można pognębić czarną wiedźmę: zgryzotę i szarą posępność i kleisty smętek. To dziw, że mnie jeszcze nie zamknęli za takie herezje. Pewnie jednak dlatego ludzie pokazują mnie palcami na ulicy i nieznacznie dotykają palcem czoła. „Pokazał ręką na serce, lecz nic nie mówił pasterce“. Pasterka jednak głęboko jest przekonana, że nie uchowa się człowiek, który podczas ciemnej nocy na wszystko przysięga, że widzi słońce i łunę nad Betlejemem.

Otóż, królu Filipie, śmiem twierdzić, że wprawdzie „minęły piękne dni Aranjuezu“, ale z całą pewnością powrócą, bo taki pogodny, piękny dzień siedzi jak krogulec na rozkwitłem drzewie i czeka, kiedy go serce ludzkie wielkiem pożądaniem i radosną przywoła modlitwą. Stanę sobie czasem w śnieżyście rozkwitłym ogrodzie leśnym, kiedy słońce dymi, jak niezmierny wulkan nieba, a niebo, lazur zamarzły, Morskie Oko Pana Boga, przeczystością niezmierną się pyszni i dziwnie modlę się wtedy: nie dostojnie, nie w skupieniu, nie w uniżoności, lecz, jak w górach to się czyni, pokrzykuję radośnie i hukam w stronę nieba, aby mnie wielki, gruby Gazda na niebieskich turniach usłyszał. Ten bowiem, co nad Tatrami panuje, przywykł do takiej modlitwy i strasznie ją lubi. Z najcudowniejszych na świecie nowel, z Tetmajera „Skalnego Podhala“ wiesz, jak się szczery góral modli do figury przydrożnej i jak z nią przedziwnie gada. Ja, honorowy góral, przejąłem tę metodę i powiadam wesoło w stronę nieba: „Albo Panie Boże, dasz już wreszcie biednym ludziom odrobinę radości, albo jutro wyjeżdżam i noga moja tutaj nie postanie! Jakżeż będzie?“ Nie uwierzysz, ale to prawda. Po chwili chmury rozsuwają się, jak kurtyna w teatrze, słońce wyłazi na scenę i zaczyna śpiewać pieśń swoją najśliczniejszą; las, jak niezmierny chór, mu wtóruje, radość, jak orzeł, spada z gór, a księżyc, w kulisach ukryty, wyzłocony, jakby nowy, czeka na swoje nocne wyjście. I jest tak pięknie, tak pięknie, że skisła dusza uśmiechać się zaczyna, a serce przeciera zaropiałe oczy i oczarowane patrzy na ten świat, na którym wszystko jest jasne i wszystko radosne, prócz człowieka. I człowiek jednak pojmie kiedyś, że został stworzony na radość, nie na cierpienie,



Z FILMU „BIAŁY ŚLAD“. ADAM KRZEPTOWSKI, REALIZATOR OBRAZU, SŁAWIĄCEGO PIĘKNO ZAKOPANEGO

do którego fałszywi namawiają go prorocy i ponure, żydowskie Eklesiasty.

Tantem tedy, o, szalony Kaligulo, opętaną moją wiarą w łaskę promienistą życia niejedno już zaraziłem serce i kilka wiader łez kazałem wylać do rzeki, co do najdalszego płynie morza. Kiedy osłabnę, przyjeżdżam do Zakopanego, napiję się słońca, nadyszę czystości powietrza, dotknę sercem granitowej skalistości i znowu jestem gotów do bojowania. Tu zaś wprawiam się w szaleństwie, nie bacząc na opasłość brzucha i na wiek, co w wolnych chwilach szuka suchego, piaszczystego miejsca na grób. Rzeźkim krokiem chodzę po mojem podniebnem królestwie i radosne wydaję okrzyki. Zaraz też się przy mnie zbiera gromadka tych, co chcą długo żyć, a nie krótko umierać, słońce bierzemy pod ręce, wiatr w głowy, radość do plecaka i idziemy szukać tego, czego nikt nie zgubił.

A wszystko dokoła jest piękne. Tym niepoliczonym miljonom nieszczęśliwych ludzi, którzy tego jeszcze nie widzieli, pokażemy to niedługo na przedziwnych obrazkach. Adam Krzeptowski, góral wielkiej rasy, zawziął się, aby całemu światu pokazać nieporównane piękno swojej rodzonej, górami groźnie najeżonej ziemi. Wszystko, co posiada, poświęcił na to, aby stworzyć film, co Tatry opromieni. Pokazywali nam niedawno jego fragmenty. Obecne były rozmaite godne osoby i znakomite wygi z kinematograficznej branży: wszyscy razem oniemieli z wielkiego podziwu i z radosnego zachwytu. Jak Cię kocham, Ludwiku XIX, obraz jest to przepyszny! Nazywa się „Biały ślad". Fabułę uczynił do niego syn pana Jackowy,—Rafał Malczewski, a Krzeptowski, cholera zawzięty, miesiącami po górach łaził, na wschody i zachody czatował, światła najdziwniejsze za świetlisty ogon łapał, kozicę nawet wypatrzył i zmajstrował film taki śliczny, że się jasno człowiekowi czyni na duszy. Płótno ekranu spowite jest albo w srebrne mgły, albo zasypane brylantami. Śnieg się na nim tumani, słońce się po niem wałęsa i „białym śladem" nart bieży i w śnieżystej kurzawie złotą ryje się twarzą i tarza się po bieli. Niema w tym filmie ani łabędzia z Łazienek, tego skrzydlatego draba, co na widok aparatu sam się już pozuje i szyję wygina, jak stara aktorzyca, niema kozaków i szarży, niema prostytutki i włamywacza; szarżę urządza wiatr, a słońce jest pierwszym aktorem i chce złotym, apollinowym grotem ubić kozicę. Gęby będą ludzie otwierali, jak bramę miasta Gazy, na ten widok. Nareszcie coś czystego i jasnego, nareszcie coś, co nie męczy, nie łka i nie jęczy, nareszcie nie żałobne nabożeństwo, tylko coś, co raduje, krzepi, pociesza i nareszcie wesele słońca z najpiękniejszą ziemią. Ruch, życie i jawność. Żadnej „tajemnicy", żadnego szwindla. Niech Pan Bóg da zdrowie Adamowi Krzeptowskiemu, że Go tak cudownie wystawił i zbliska w dziele słonecznem ukazał.



KORNEL MAKUSZYŃSKI, JAKO NARCIARZ. ZNAKOMITY PISARZ Z ŻONĄ I PRZYJACIELEM SWOIM, ART. MALARZEM TADEUSZEM KONIEWICZEM, WYRUSZA NA WYCIECZKĘ NARCIARSKĄ

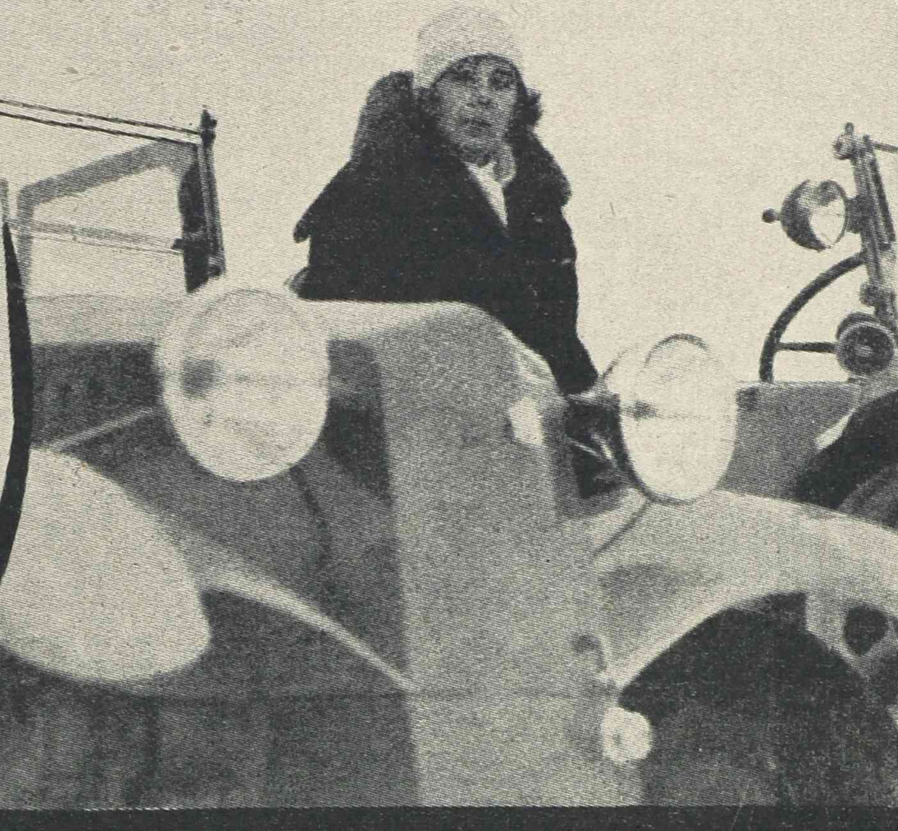
Tutaj wszystko jest w ruchu; pominąwszy rumbiczny ruch wzajemnego ocierania brzucha o brzuch na dancingu, przejęty od pstrągów i od łososi (niech się ludzie bawią, co to komu szkodzi?) —ruch największy odbywa się na śniegu. Najwspanialszym jego pokazem były przed kilku dniami zawody narciarskie imienia Kornela Makuszyńskiego. Widziałem tę małpę w narciarskim stroju, jak się pysznił i wył z radości, kiedy narciarz świetnie skoczył. Potem z miną generała, co ma dwie lewe nogi, przyjmował meldunek dowódcy zawodów i — kretyn jeden — ściskał zwycięzcę. Co za fason, Boże miły! Myślałbyś, że na loterji wygrał, łapserdak jeden... Ale, prawdę powiedziawszy, zawody były pierwszej klasy. Czterdziestu młodzieńców, a każdy, jak Hermes, ze skrzydłami u nóg, waliło przez pola, przez płoty i przez wysokie przeszkody. Tłum ludzi, uradowany i przejęty, pokrzykiwał, klaskał i otuchy dodawał tym, co już szli tchem ostatnim, a w pewnem miejscu zawodnik musiał, leżąc na plecach, przejechać przez rodzaj trumny, kilkumetrowej długości i potem jeszcze skoczyć na złamanie kruchego karku. Byczy bieg! Patron tego skaczącego interesu, nieporównany opiekun sportu, pułkownik Wagner, szalał też radosnem szaleństwem. Zawodników swoich — (ojciec Wirgiljusz uczył dzieci swoje, a miał ich tylko sto czterdzieści dwoje) — kocha jak ojciec i ojcowskim wrzaskiem ich podpędza i gromi i podjudza. Świetny człowiek ze śniegu.



SCENA Z FILMU ZAKOPIAŃSKIEGO P. T. „BIAŁY ŚLAD"

Zakopane — trzeci zimowy wyścig torowy





GRUPA ZNAKOMITYCH ZAWODNIKÓW, BIORĄCYCH UDZIAŁ W WYŚCIGU: P. KOŹMIANOWA (NA AUSTRO-DAIMLERZE), 3 MIEJSCE W KAT. WOZÓW SPORTOWYCH, P. JAN RIPPER (NA BUGATTIM), 1 MIEJSCE W KAT. WOZÓW WYŚCIGOWYCH, ZA NIM STOI P. HOŁUJ, 11 MIEJSCE NA MASZYNIE „BUGATTI". OSOBNO WIDZIMY P. MARJĘ HR. SZEMBEKOWĄ NA „TATRZE"

Dzisiaj znowu na automobilach będą gnać po śnieżystym torze; kto kogo natłucze, dowiesz się o tem z szybkiej gazety. Dość, że tu nie próżnujemy, lecz wprawiamy życie w szaleństwo i Zakopane „jednak się porusza". Wczoraj miałem przez chwilę wrażenie, że nawet góry zaczęły się poruszać; patrzę i widzę, że najwyraźniej Kopa Magury idzie po Krupówkach, wyniosła, dostojna, wspaniała, majestatycznie powolna. Oczom nie wierzę, a górska dostojność wydaje nagle z siebie głos i czule mnie wita. To nie żadna była góra, tylko Jego Dostojność Mieczysław Frenkel, kawaler orderów. A ówdzie, mocny w sobie człowiek, gęba strasznie miła, kopie pracowicie lód. „Czego szukasz, przyjacielu?" — pytam go troskliwie. — „Szukam serca lodów!" — odrzecze mi on. To ci był F. Goetel, zacny chłop.

Niech każdy znajdzie, czego szuka, wtedy nam wszystkim będzie dobrze.

Wszystko, co bym napisał po tak wspaniałej i mądrością ciężarnej sentencji, byłoby mdłe i nikłe. Dlatego list ten kończę powtórnem zapewnieniem, że Cię Zakopane niezmiernie uwielbia, a ja Cię niezmiernie miłuję. „Niech się w akantach kolumn Twego domu białe tylko gnieżdżą gołębie", a na to, o czem piszesz, że Ci dolega, najlepsza jest sól morszyńska...

Twój przyjaciel i słynny narciarz
Kornel".

DYSPROPORCJE

STRUKTURA SPOŁECZNA I GOSPODARCZA POLSKI

W chwili, kiedy upajamy się szybkim wzrostem ludności Polski i sugestjonujemy jej „mocarstwowością", dobrze jest usłyszeć z ust b. ministra przemysłu i handlu, jednego z organizatorów siły polskiej nad morzem, że „szeregowanie państw i narodów wedle zajmowanego obszaru i wedle cyfry ludności jest sprawdzianem, prowadzącym prawie zawsze do błędu".

Chiny tworzą w tej chwili jaskrawą ilustrację słuszności tego zdania. Zamiast opierać się na kryterjum ilościowem, należy zatem stosować analizę jakościową. Tak postępuje p. Eug. Kwiatkowski w swej książce*) i stwierdza, że „często znacznie mniejsze państwa i narody w Europie posiadają wielokrotnie wyższy „współczynnik wytrzymałości" politycznej, że głos ich jest bardziej ważki, niż nasz, że identyczne zagadnienia rozwiązują one prędzej i łatwiej, że przy mniejszym wysiłku uzyskują one nieproporcjonalnie większe rezultaty, że zjawisko to należy właśnie odnieść do faktu, iż dynamiczna wartość człowieka u nas i na zachodzie Europy i w Ameryce jest zupełnie różna".

Ta dysproporcja nie wynika z indywidualnych gorszych właściwości psychicznych człowieka, lecz z niepomyślnych warunków socjalnych, w jakich musi u nas działać. Nie kusząc się o wyczerpanie, można ułożyć całą ich listę: przewaga elementu rolniczego nad handlowo-

*) Eugenjusz Kwiatkowski: Dysproporcje. Rzecz o Polsce przyszłej i obecnej. Nakł. Tow. Szkoły Ludowej. Kraków. (Patrz № 7 „Świata).

przemysłowym w dwukrotnie wyższym stopniu, niż nprz. w Danji, uważanej za kraj klasycznie rolniczy; ułomna struktura rolna, utrzymująca 30% ludności państwa na gospodarstwach karłowatych i niewystarczalnych; mała konsumcja tej ludności; niedorozwój handlu; zacofanie przemysłu; nadmierne obciążenie produkcji przemysłowej i handlu podatkami i świadczeniami społecznemi; niska stopa zarobków i skali życiowej; surowcowy charakter naszej produkcji i eksportu; systematyczne zubożanie kraju przez wywóz zagranicę węgla, nafty, soli, cukru, żelaza po cenach niepokrywających często kosztów produkcji; brak własnych kapitałów i drożyzna kredytu. Wreszcie — pisze p. Kwiatkowski: „posiadamy znacznie mniej, niż małe państwa zachodnie, naprawdę dobrych i nowoczesnych dróg komunikacyjnych, mniej uregulowanych i spławnych rzek, osuszonych i wyzyskanych produkcyjnie bagien i nieużytków, posiadamy mniej przestrzeni mieszkalnej dla człowieka, mniej szpitali, zgłaszamy mniej patentów, zato mamy więcej dachów słomianych i pożarów, więcej przestępców i więcej żebraków".

Tę naszą niższość kulturalno-gospodarczą niektórzy ekonomiści i politycy starają się przedstawić, jako szczęśliwą okoliczność, pozwalającą łatwiej przetrwać kryzys obecny, dającą nam przewagę nad Anglją, Niemcami, Stanami Zjednoczonemi, nawiedzonemi klęską olbrzymiego bezrobocia. P. E. Kwiatkowski odrzuca ten pogląd: „Nie można wystawić bardziej złudnej i bardziej szkodliwej teorji — pisze wymownie, — jak ta, że właśnie siła odporna Polski na zjawiska kryzysu i chaosu międzynarodowego leży w jej prymitywnych formach rozwoju gospodarczego, w jej obecnej strukturze ludnościowej, w jej nikłym związku z gospodarstwem światowem i w jej separacji od politycznych prądów Zachodu. Doktryna taka okazałaby się niebawem tak samo zwodnicza, jak była nią w XVIII wieku zasada, że Polska nierządem stoi". I dodaje z całą słusznością: „Od zła, które przesyca całą atmosferę życia państw i narodów świata, nie można się oddzielić ani murem paszportowym, ani barykadą celną, ani rygorami administracyjnemi, ani nawet powszechną nędzą; w stosunku do zła pozostaje praktycznie tylko jeden rzetelny stosunek, t. j. „walka".

Takie stanowisko zobowiązuje do wysunięcia pozytywnego programu społecznego. Nie można już mydlić oczu harmonją interesów latyfundysty i bezrolnego, solidaryzmem kapitalisty z robotnikiem, zaprzęganiem do jednego dyszla socjalisty rewolucyjnego z zachowawcą społecznym. Trzeba powiedzieć, do czego się zmierza.

P. Kwiatkowski formułuje zadania polskiej polityki wewnętrznej, jako dążenie do „przetworzenia zaniedbanego i wynędzniałego kraju na państwo o całkowicie nowożytnej strukturze przemysłowo-rolnej, o skrystalizowanych i jasnych tendencjach harmonijnego rozwoju miast i wsi".

Jakżeż ta ogólna formuła ma się przedstawiać w poszczególnych dziedzinach? Zacznijmy od rolnictwa, jako największej gałęzi wytwórczości; autor domaga się „stopniowej, ale systematycznej przebudowy ustroju agrarnego i ustabilizowania polityki rolnej w tym sensie, by miljonowe rzesze chłopskie mogły się stać w przyszłości coraz aktywniejszymi konsumentami i płatnikami podatków". Jest więc tu powiązanie dobra najliczniejszej warstwy społecznej z interesem i rozwojem państwa.

Ta sama myśl przyświeca p. Kwiatkowskiemu w rozwiązywaniu kwestji robotniczej: „Robotnik — nędzarz, pozbawiony domu, skazany na widok biedującej rodziny, a więc ustawicznie niezadowolony, wkońcu zobojętniały na wszystkie sprawy życia, nienawidzący w duchu i pracodawcy i własnego warsztatu pracy, jest czemś całkowicie różnem od człowieka mającego dom, odczuwającego całą radość życia, kochającego swą pracę i swój warsztat fabryczny... Ci przemysłowcy, którzy zrozumieli doniosłość tego zagadnienia, przestali wogóle mówić o chytrej teorji solidarności klas społecznych, natomiast praktycznie zredukowali tę walkę do granic najniezbędniejszych, przywiązali robotników moralnie do własnego warsztatu produkcji i przekonali się, że w rezultacie zwiększony wydatek na „robociznę" opłaca się im sowicie".

Jest to program postępowy, ale ewolucyjny, pełen umiaru, liczący się z trudnościami, biorący pod uwagę wielkie nasze zaniedbania. „Polska dzisiejsza—pisze p. Kwiatkowski — znajduje się w tak niezwykłych warunkach, że musimy się strzec przed eksperymentami o niesprawdzonej i wątpliwej wartości tak samo, jak musimy się oddalać stopniowo i systematycznie od warunków dzisiejszej egzystencji".

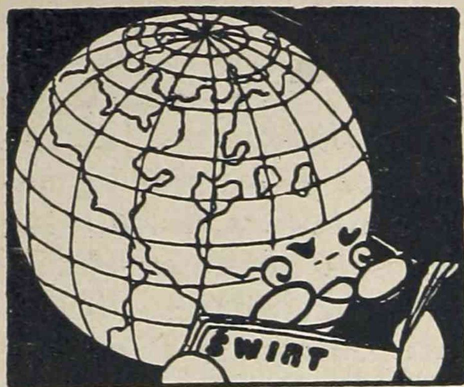
W innem miejscu zaś stwierdza: „zarówno skrajny radykalizm społeczny, jak i skrajny konserwatyzm są w warunkach polskich fałszywe i zgubne; pierwszy nie jest w stanie stworzyć nowych i wydajnych podstaw dla pozytywnych wartości społecznych i gospodarczych, drugi nie może się ostać wobec nacisku życia, domagającego się na każdem polu reformy, ewolucyjnego postępu i przebudowy".

Przestrzeganie przed jednostronnością — oto nieustanny wysiłek autora. Tymczasem jest ona organiczną wadą Polaków: wytężając swe siły w jednym kierunku, zapominamy o innych. Weźmy chociażby walkę o zbyt naszych towarów; nastawiliśmy się wyłącznie na rynek zewnętrzny: Gdynia, kolej Śląsk — Pomorze, linje okrętowe, taryfy przewozowe — wszystko było przedsięwzięte, aby nasz węgiel sprzedać zagranicę. A przecież całe połacie kraju opalane są jeszcze drzewem. Nic nie zrobiono, aby zaoszczędzić lasy i zwiększyć spożycie węgla wewnątrz państwa. P. Kwiatkowski słusznie pisze: „Programowy wysiłek polski musi uwzględniać oba zagadnienia i oba naturalne odpływy dla produkcji".

Albo jednostronność nasza zawodowa: „Przez wieki całe, wbrew narzucającym się okolicznościom i potrzebom, byliśmy narodem rolników; dziś musimy się stawać narodem wielo-funkcyjnym, społeczeństwem kupców, przemysłowców, rolników, pracowników fizycznych i umysłowych". „Przez szereg stuleci zasklepiliśmy się w zagadnieniach lądowych; dziś musimy znaleźć miejsce i dla zagadnień morskich".

Usunięcie dysproporcji w strukturze gospodarczej i socjalnej społeczeństwa, w jego nawyknieniach i dążeniach, w celach i zamiłowaniach — to jakby dalszy ciąg naszych walk o państwo polskie; wzmocni się ono i ostoi przeciwnościom wtedy jedynie, jeśli przywrócone będzie właściwe naszym czasom ustosunkowanie wewnętrzne sił, ich równowaga. Anachronizmy, pieczołowicie pielęgnowane, już pozbawiły nas raz niepodległości; straszneby było, gdyby ją miały znowu naruszyć, a choćby osłabić.

W. Giełżyński



TYDZIEŃ ŚWIATA

(V.) Konferencja rozbrojeniowa ukończyła dyskusję generalną, w której zgłoszono kilkanaście opracowanych projektów i kilkadziesiąt do nich uzupełnień. Cały ten materjał przekazano komisji głównej, której referentem został minister Benesz. Narazie komisja uporała się z jedną propozycją, złożoną przez p. Litwinowa, o całkowitem i powszechnem rozbrojeniu. W dyskusji nad tym projektem przedstawiciel Hiszpanji, ambasador Madariaga opowiedział anegdotę, doskonale ilustrującą debatę rozbrojeniową w Genewie:

W pewnej miejscowości odbył się kongres zwierząt w celu zaprzestania wzajemnych napaści i zabójstw. Wszyscy je potępili. Ale jak im zapobiedz?

— Trzeba skasować ostre pazury — rzekł bawół.

— Ja jestem za zniesieniem śmiercionośnych rogów — proponował orzeł.

— A mnie się wydaje, że najgroźniejsze są zakrzywione stalowe dzioby — oświadczył lew.

Słoń sądził, że kły zewnętrzne, choć wielkie, mniej czynią zła od ukrytych w paszczy drapieżników zębów, w czem go popierał stary nosorożec; tygrys znów uskarżał się na potężną trąbę słonia. Wreszcie zabrał głos niedźwiedź, proponując zniesienie wszelkich narzędzi mordu: szpony, kły, dzioby, żądła, kopyta i rogi mają być zakazane. Pozostawić trzeba tylko mocny, serdeczny, niedźwiedzi uścisk braterstwa.

Przemówienie min. Madariaga wywołało ogólną wesołość i burzę oklasków. Propozycję p. Litwinowa odrzucono niemal jednogłośnie.

. . . .

(B.) Dwuchsetlecie urodzin „ojca Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej", walecznego mądrego Jerzego Waszyngtona święciliśmy w Polsce szczególnie uroczyście. Odbyły się liczne akademje, pogadanki, obchody. Z dużą ostentacją wystąpiła Warszawa. Na uroczystej akademji był obecny p. Prezydent Rzeczypospolitej, a głos zabrał prof. S. Aszkenazy, znakomity historyk i wielkiej miary pisarz. Z życiem wielkiego patryjoty amerykańskiego losy związały bohaterskie czyny T. Kościuszki i K. Pułaskiego. W wojnie oswobodzicielskiej Stanów odegrali oni wybitną rolę. Szczycili się przyjaźnią znakomitego wodza i obywatela. Jerzy Waszyngton, jako pierwszy prezydent wolnych Stanów Ameryki Północnej, w historji świata i demokracji zaskarbił sobie pamięć wieczną.

Uroczystości jubileuszowe ku jego czci w Polsce nacechowane były żywą sympatją i powstały, jako samorzutny niemal hołd dla pamięci wielkiego amerykanina.

. . . .

(A.) Podkreśla się stale różnice między kapitalizmem i komunizmem. Niewątpliwie takie przeciwieństwa istnieją między gospodarką europejską a bolszewicką. W kraju przodującym pod względem kapitalistycznym, w Stanach Zjednoczonych odbywa się teraz znamienne przeszacowanie wartości. Kartelizacja, monopolizacja całych branży przemysłu znajduje się tam w stadjum nieustannego zwiększania zasięgu działania. Z nastawienia tego wynikły pewne praktyczne konsekwencje.

Na kongresie międzynarodowym Stowarzyszenia dla badania stosunków przemysłowych zastanawiała ekonomistów europejskich uderzająca solidarność amerykańskich działaczy gospodarczych z przedstawicielami „Gosplanu". Działo się to niedawno w Amsterdamie. Tezy amerykańskie o organizacji produkcji znajdowały natychmiastowe poparcie działaczy komunistycznych. Tezy bolszewickie o rozdziale towarów spotykały się z życzliwą aprobatą amerykanów. Kooperacja ideowa między dwoma przeciwieństwami ustrojowo-gospodarczemi okazała się możliwa. Paradoksalność tego wydarzenia jest materjałem, godnym głębszego namysłu. Tkwi w tem również i pewna moralna point'a.

. . . .

(F.) Życie przynosi nam obecnie do rozwagi jaskrawe paradoksy. Iluż to ojców przed wojną straszyło swych źle uczących się synów szewcem, stróżem, kominiarzem!!! Panował bowiem powszechny pęd do nauki. Wykształcenie nawet mierne zapewniało lukratywniejsze stanowiska w społeczeństwie.

Jakże groźnie przemawiał wtedy ojciec do syna:

— Bęcwał jesteś! Nie nadajesz się nawet na urzędnika pocztowego, bo przynosisz dwójki z geografji!

Po wojnie nastąpiła dziwna odmiana w naszych stosunkach życiowych. Na zachodzie Europie zjawisko to występuje dosadniej, niż u nas. W prasie wiedeńskiej spotykamy nieustannie żałosne treny na temat hiperprodukcji inteligencji. Maleńka republikańska Austrja nie może zatrudnić wszystkich prawników, lekarzy, pedagogów, inżynierów. Prowadzą też oni żywot godny współczucia. Przystojniejsi usiłują przedostać się za kulisy teatrów, studjów kinowych. Na dancingach widuje się stale młodych inteligentów, jako fordanserów. Taki „gigolo" z inteligencji stał się już nawet przysłowiowy w stolicy naddunajskiej. Tytułuje się go uprzejmie „Herr Doktor". Na sezony wyjeżdża na Semmering dla zarobku. Korespondent „New-York Times'a" opisuje obecny sezon zimowy w tej modnej, górskiej stacji sportowo-klimatycznej:

— „Ożywienie na Semmeringu następuje przed wieczorem. Wszyscy spieszą do wytwornych lokali na five' o'clock, gdzie liczni „bezrobotni" lekarze, inżynierowie, adwokaci z Wiednia występują, jako fordanserzy. Taki gigolo z uniwersyteckiem wykształceniem za przetańczony z damą (starszą) wieczór otrzymuje zwinięty w rurkę banknot 5 szylingowy".

Nadmiar podaży sprawia, że i te zarobki są marne. I pomyśleć, za cały wieczór ciężkiej pracy przy rozbawionej damie młody tancerz z uniwersyteckiem wykształceniem zarabia tylko pięć szylingów! Stanowczo, życie powojenne w Europie dostarcza nam zbyt jaskrawych paradoksów do refleksji!

. . . .

(i.) Kilku panów przy kawiarnianym stoliku. O czem mówią? O podatkach. Z błysków oczu widać, że temat jest bolesny.

— Skoro państwo potrzebuje, trudno, trzeba dawać. Niech będą podatki nawet wysokie, jednak niech będą sprawiedliwe. Lecz jeśli mnie, właściciela domu, pozbawiają prawa eksmisji wobec niepłacących lokatorów, poczem lokatorzy oczywiście odrazu przestają płacić, i równocześnie podwyż-

szają mi podatki, to jest to taktyka niesprawiedliwa, krzywdząca.

Siedzący obok literat dodał.

— Tego rodzaju przykłady spotyka się we wszystkich dziedzinach pracy. Rząd wydziela np. nam, pisarzom, raz na rok skromną nagrodę państwową. Pięknie. Lecz jednocześnie obarcza pisarstwo polskie tak niesłusznie skonstruowanym podatkiem dochodowym, że autor, któremu uda się osiągnąć czasem powodzenie, odarty zostaje natychmiast ze znacznej części uzyskanego dochodu. A najgorsze, że niemiłosierny, szczególnie na literaturę i sztukę zawzięty Urząd Skarbowy przychodzi ze swem żądaniem wtedy, kiedy pisarz już oddawna wydał ów fortunny dochód, kiedy znów żyje z zaliczek na następne dzieło.

— Rozdrażnienie staje się coraz powszechniejsze, ludziom pracy opadają ręce. Wytwarza się atmosfera, która nic dobrego nie wróży...

. . . .

(Old) Po większych miastach prowincjonalnych Kongresówki szerzy się ciekawy ruch — przeciwelektryczny. Przykład dał spokojny, cichy Piotrków. Już od dwóch tygodni tonie w ciemnościach. Woli czytać, pisać i jeść kolację przy świecy lub lampie naftowej, woli nie chodzić do kina i nie oglądać wystaw sklepowych, niż przepłacać światło elektryczne. Za Grodem Trybunalskim poszły inne miasta: w Częstochowie wybuchł dwudniowy strajk demonstracyjny konsumentów prądu elektrycznego, a gdy on nie odniesie skutku — rozpocznie się bojkot elektrowni. W Tomaszowie Rawskim bojkot już zarządzono. W Łodzi związki i organizacje społeczne zażądały obniżenia ceny elektryczności. To samo w Kielcach. Kalisz odrazu osiągnął pewną zniżkę. Ruch przerzuca się na inne dzielnice: Wilno i Przemyśl zażądały zniżenia taryfy. Mówi się o tem i w Warszawie.

Elektrownia stołeczna pobiera za oświetlenie mieszkań prywatnych po 80,66 gr. za kilowat-godzinę oraz 2,55 miesięcznie opłaty stałej. Przy olbrzymiej ilości zużywanej w Warszawie elektryczności jest to cena niesłychana. Nic też dziwnego, że Elektrownia warszawska ciągnie z miasta po 20 miljonów czystego zysku rocznie. Gdy wszystko tanieje i wszystkim zmniejsza się zarobki, czas temu łupiestwu legalnemu kres położyć. Spożywcy muszą się bronić. Akcja przeciw elektrycznemu wyzyskowi, ogarniająca stopniowo wszystkie miasta polskie, jest objawem zdrowym i pocieszającym. Świadczy ona, że bierność ludności ma swój kres, że następuje przebudzenie świadomości swych interesów i solidarna wola ich obrony.

Społeczeństwo, które nie potrafi bronić się przed małemi przeciwnościami, nie ostoi się też wobec wielkich niebezpieczeństw. To też ruch „antyelektryczny" witamy z radością. Ma on — poza celem bezpośrednim — doniosłe znaczenie wychowawcze.

. . . .

(Wig) Katolicka Agencja Prasowa słusznie powstaje przeciwko różnego rodzaju „świętom", obchodzonym w naszych szkołach: „święto szkolne", „święto sportowe", „święto sztandaru", · „święto wychowania fizycznego", „święto kasy oszczędności", „święto hufców szkolnych" i t. p. Wyliczyć wszystkich nie sposób. Katolicka Agencja prasowa zwraca uwagę na niestosowność używania dla tych dni określenia: „święto", które powinno być zarezerwowane tylko dla uroczystości kościelnych, państwowych i narodowych.

Poza jednak sprawą nazwy, istnieje bodaj ważniejsza jeszcze kwestja zasadnicza: czy dobrze jest młodzież wychowywać w atmosferze nieustannych „świąt", organizowanych pod tym czy innym pretekstem? Zdaje się, że my w Polsce i tak zadużo świętujemy. Przydałoby się raczej zaprawiać młode pokolenie do wysiłku codziennej, do szarej pracy, a nie do ciągłych „świąt rozrywkowych" i „świąt okolicznościowych".

. . . .

(Old) Już wiemy, dlaczego wszystkie polskie filmy są takie nudne, anemiczne, ckliwe, nieudolne. Wcale nie dlatego, że nie mamy dobrych scenarjuszy, pomysłowych reżyserów, fotogenicznych aktorów, rutynowanych operatorów; wcale nie z braku potrzebnych kapitałów, odpowiednich urządzeń i kosztownych instalacji. Przyczyna zła kryje się gdzieindziej. Nie posiadamy tła przyrodniczego. Mamy nieodpowiedni klimat. Brak nam pięknych krajobrazów i charakterystycznych typów. Cóż warte zaśnieżone Tatry, malownicze wzgórza Podkarpacia, stepy wołyńskie, błota poleskie, jeziora wileńskie lub augustowskie? Co warte wybrzeża Bałtyku czy lasy Tucholskie? Sahary nie mamy! Bez Sahary ani rusz! Bez Sahary dobrego filmu polskiego nie można stworzyć. To też najpilniejszą naszą potrzebą narodową, kulturalną i gospodarczą było wysłanie ekspedycji filmowej na Saharę. Wzięli w niej udział: p. Bodo, p. Brodzisz, Nora Ney, Marja Bogda i jeszcze parę osób mniej znanych.

Obyż przywieźli z Afryki arcydzieło polskiej twórczości filmowej. My jednak nie jesteśmy pewni sukcesu. Bo nie miejsce zdobi człowieka i nie miejsce stwarza artystów.

. . . .

(B.) Puck, stare ongiś kwitnące miasto nad polskim Bałtykiem, obecnie wyludnia się coraz bardziej, a życie jego handlowe i administracyjne z roku na rok zmniejsza swoje agendy. Upadek Pucka rozpoczął się po przeniesieniu a raczej zunifikowaniu powiatu z Wejherowem. Powstał „powiat morski", który nie uprościł zadań administracji, a ludności Pucka przyniósł olbrzymie straty. W sprawie tej szeroką akcję wszczął p. Czesław Krauze, przewodniczący rady miejskiej miasta Pucka i członek sejmiku powiatu morskiego. Żąda on przywrócenia dawnych agend i praw starego, malowniczego, nadmorskiego polskiego grodu. Jak widać, nie wszystkie unifikacje są pożyteczne. W ostatnich czasach zbyt dużo i łatwo przeprowadza się zmian organizacyjnych, które w konsekwencji dają smętne rezultaty?

Od czwartku do czwartku

Najważniejsze wydarzenia tygodnia

Rząd chiński założył w Tokio protest przeciwko ogłoszeniu niepodległości Mandżurji i postanowił wysłać przeciwko niej ekspedycję karną.

Walki pod Szanghajem trwają w pełni; ośrodkiem ich jest wciąż miasto Kiang-Wan, oddalone o 20 klm. od Szanghaju.

Na wodach oceanu Spokojnego u wysp Hawajskich skoncentrowano główne siły amerykańskiej marynarki wojennej.

Reichstag odrzucił wszystkie wnioski prawicy przeciwko rządowi Brüninga i został odroczony.

Rząd brunświcki zamianował Hitlera swym radcą finansowym w Berlinie, przez co nadał mu obywatelstwo niemieckie i umożliwił kandydowanie na prezydenta republiki.

Senat francuski jednogłośnie odrzucił projekt reformy wyborczej, znoszący ściślejsze głosowanie.

OD MAZURA DO RUMBY

— Nie myślałam, idąc do pani N., że zastanę ją samą. Był to dzień jej przyjęć.

— Karnawał, proszę wybaczyć! — tłomaczyła się pani domu.

W głosie jej brzmiał lekki odcień żalu. Ta siwowłosa kobieta musiała być kiedyś czarująca, a jej karnawały bywały z pewnością szumne i roztańczone...

— Niech pani opowie, jak pani się dawniej bawiła. Dla nas te minione czasy są czemś, co się już nigdy nie powtórzy.

— Tak, to się nie powtórzy — potwierdziła siwa pani. Bawiliśmy się całą duszą, noc po nocy, hucznie i krótko; nie tak jak wy przez cały rok po dancingach. My tylko dwa razy do roku: w karnawale zimowym i w karnawale zielonym.

— W dzisiejszych pałacach, gdzie rezydują ambasady i legacje, mieszkali ich rzeczywiści właściciele: Potoccy, Raczyńscy, Krasińscy, Lubomirscy, Zamoyscy, Czetwertyńscy i inni.

— Nie było taksówek i samochodów, ale były dla błyszczącej młodzieży parokonne, doskonałe dorożki. Wiele osób miało prywatne pojazdy. Posługiwano się remizami, karetkami klubowemi.

— Warszawa w okresie karnawału była przepełniona. Zjeżdżały rodziny z prowincji, z kresów: z Ukrainy, Podola, Wołynia i Litwy. Matki z posażnemi córkami na wydaniu i młodzi w poszukiwaniu bogatego ożenku. Otwierały się efemeryczne salony, poto, żeby wydać córkę zamąż i, po spełnieniu swej roli, ginęły z horyzontu towarzyskiego.

— Tańczono w karnawale co dzień. Rozrywano najpopularniejszego kapelmistrza Lewandowskiego, — a taniec nie był wtedy lekkim spacerem w takt foxtrotta czy tanga! Zaczynano od walca; głównym tańcem, trwającym do kolacji, był zawsze mazur figurowy.

— Kolację podawano między drugą a trzecią godziną w nocy. Siadały do niej pary tańczące mazura. Kolacja składała się z kilku dań. Niktby się nie ośmielił zbyć gości bufetem. Bal kończył się nad ranem — białym mazurem.

— W tych warunkach o powodzeniu balu stanowili dobrzy mazurzyści. Ci tancerze byli też rozrywani. — Zachowałam w pamięci nazwiska czterech braci Platerów, dwu Taubów, Konstantego Orsetti, pp. Borzewskich...

— Pięknych kobiet, jak zawsze, w Polsce było dużo. W tej chwili przewijają mi się w pamięci śliczne twarze pań: Ordynatowej Zamoyskiej i jej siostry hr. Natalji Potockiej, pani Ostrowskiej, późniejszej margrabiny Wielopolskiej, i tylu innych!

— Najładniejsze bale bywały w pałacu Błękitnym u ordynatów Zamoyskich, u hr. Augusta Potockiego, u ks. Czetwertyńskich.

Z pośród obywatelstwa wiejskiego, które otwierało przelotne salony, wspomnieć trzeba o domu pp. Sianożęckich, którzy dużo przyjmowali, póki dwie ładne córki, Eugenja i Stanisława, nie wyszły za mąż, jedna za hr. Augusta Potockiego, druga za hr. Mielżyńskiego.

— Wśród finansjery warszawskiej prym trzymały domy: Blochów i Epsteinów. Dom Blochów przy zbiegu ulic Marszałkowskiej i Królewskiej, wspaniale urządzony, dawał liczne i świetne bale. Do kolacji zasiadało po 100 osób. W domu Mieczysława Epsteina, równie gościnnym i z wielkim smakiem urządzonym, przyjmowała wyjątkowo miła gospodyni, zawsze równej dla wszystkich uprzejmości z pochodzenia francuzka.

— Młodzież ówczesna nie potrzebowała szukać zabawy w Adrji czy Bodedze — ciągnęła z uśmiechem siwiejąca pani. Każdy wieczór zimowy był zajęty. Co noc gdzieś tańczono. Było dość sposobności, żeby się poznać wzajemnie i zawrzeć odpowiednie małżeństwo. W dzień spotykano się na ślizgawce, na wizytach. Zaś po tym okresie zabaw wracano na wieś do pracy, żeby się znów zebrać, już na krótko, w karnawale zielonym. Znaczył go okres wyścigów — czerwiec.

Znów inne wrażenia. Słońce, zielone pole Mokotowskie, emocje biegów. Kolacje w chłodnych ogródkach Marcelina lub Sielanki. Albo wieczór tańcujący w mieście. — Trwało to wszystko krótko, bo żniwa były za pasem i lipiec czekał na pana w wiejskiej siedzibie.

Z balów na rozliczne cele dobroczynne (o społecznych przed wojną nie mogło być mowy) jednym z najbardziej uczęszczanych był bal na „Maternité", instytucję, której prezesową była pani Konstantowa Górska, z domu ks. Galicyn. Kobieta niepospolita, gorliwa patryotka i katoliczka, popularna we wszystkich kołach, umiała zainteresować swoją instytucją całe miasto. Wielka sala ratuszowa na tych balach bywała zawsze szczelnie wypełniona. Honory domu robiła

„Galicynów Konstantowa,
Na niej suknia fioletowa,
Już nie nowa, już nie nowa..."

jak głosił wiersz, przez własną jej rodzinę skomponowany. Bo pani Konstantowa, skromna w stroju, zwykle czarno ubrana, od wielkiego dzwonu stale tę samą suknię fioletową wkładała.

Już w późniejszych czasach przed samą wojną salon margrabiny Wielopolskiej w pałacyku przy Alejach Róż był ośrodkiem towarzyskim, gdzie zbierano się chętnie i licznie. Wszyscy, którzy mieli do czynienia z nędzą dzieci, głodnych czy jeńców, pamiętają, że dobroć i uczynność margrabiny znajdowały lekarstwo na wszelkie nieszczęścia.

. . . .

Wracałam pod wrażeniem wspomnień z tych czasów, kiedy okropna niewola polityczna łączyła się z wielkim rozkwitem dobrobytu, kiedy „towarzystwo" warszawskie szukało w wirze zabaw zapomnienia.

I nagła myśl:

— Co odpowiem, jeśli moja wnuczka za czterdzieści lat zwróci się do mnie z pytaniem:

— Opowiedz babciu, jak się bawiłyście w tym przedhistorycznym 1932 roku.

— Drogie dziecko, jeśli chcesz wiedzieć, jak się bawiłyśmy, to najprzód zdaj sobie sprawę, jakie wówczas panowały stosunki. Dziesięć z górą miljonów bezrobotnych w samej tylko Europie, hasła proletarjackie, szerzone przez zwycięski bolszewizm, wszechświatowy, okrutny kryzys finansowy... Czyż mogły się zmieścić w tych ramach kosztowne bale, wytworne salony, suknie od Paquin'a lub Poiret'a? A jednak te pomarszczone twarze twoich babek rodzonych i ciotecznych były również kiedyś śliczne, rozbawione. Marzyły tak samo o arenie dla swego dowcipu, urody, gustu. Póki istnieje modna suknia i ołówek do ust — istnieć będzie, nawet w najgorszych warunkach, salon.

Więc i my w 1932 roku miałyś-

dawniej

Augustowa hr. Potocka

my salony. Były piękne wnętrza, śliczne kobiety i interesujący mężczyźni. Jednakże na tej dziedzinie życia towarzyskiego najciężej zaważył kryzys. Bo salon, to nie zbiorowisko przygodnie zgromadzonych gości, wchodzących jedne-



Mieczysław hr. Orłowski



Tomaszowa hr. Zamoyska (Konstantowa ks. Lubomirska) z synem, dzisiejszym ordynatem Maurycym hr. Zamoyskim

mi drzwiami i wychodzących czemprędzej drugiemi. Salon to dobrane towarzystwo, dobra kuchnia, dobre trunki, ładnie ubrane kobiety.

W 1932 r. nieliczne były domy



Gustaw baron Taube

prywatne w Warszawie, które mogły sobie pozwolić na większe przyjęcia, choćby tylko raz, dwa razy na rok.

— Wyznam ci, moja wnuczko, że uważałyśmy za nieznośnie nudne przyjęcia, na których trzeba było odsiedzieć gorącą kolację. Zdawało nam się, że mamy zbyt mało czasu na zabawę, że na nasze życie wciąż czyha jakiś nowy „moment historyczny". Wolałyśmy być niczem nieskrępowane i robić to, co w danej chwili nam się podobało.

Udatne przyjęcie taneczne musiało mieć z reguły dobrą muzykę, możliwie z murzynem i jazz-bandem, oraz bufet, gdzie każdy rozmawiał, z kim chciał, a jadł i pił według upodobania. Zabawy takie bywały wcale wesołe, choć małżeństwa na nich rzadko się kojarzyły.



Dwie siostry: ordynatowa hr. Zamoyska i hrabianka Natalja Potocka

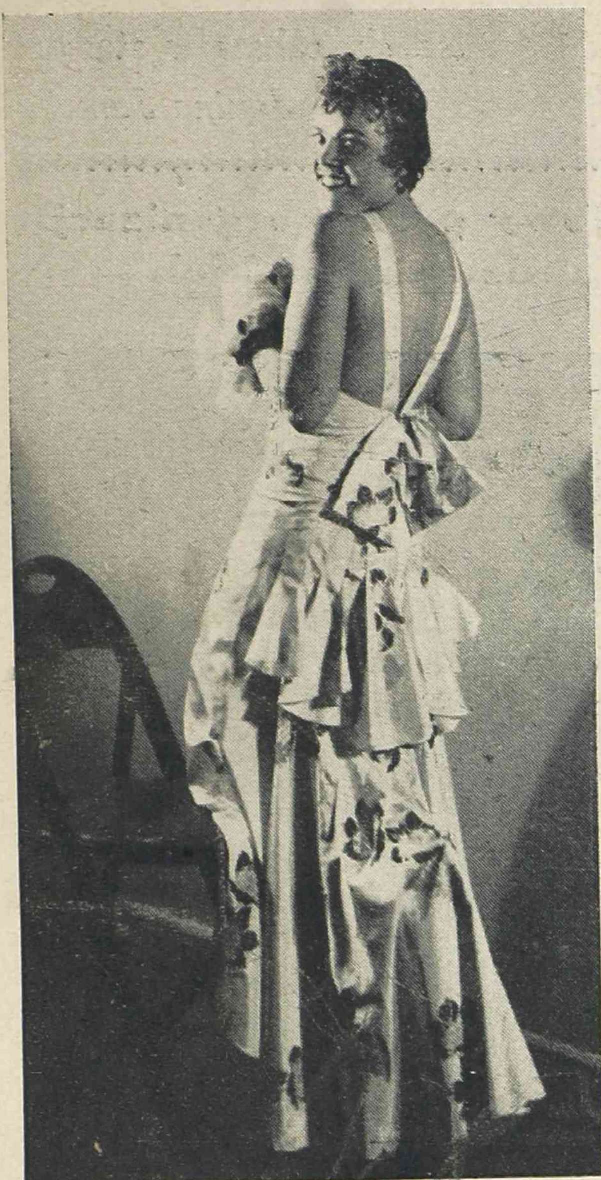
Panny w tych czasach wolały flirt, niż polowanie na męża. Częściej natomiast te zabawy nastręczały sposobności do rozwodów, co, jak wiesz z historji przed wprowadzeniem nowej ustawy małżeńskiej, nie było trudnem.

— Dla ilustracji naszych ówczesnych obyczajów muszę ci się przyznać, że nawet z najbardziej miłego przyjęcia część gości koło godziny 4-ej znikała i nieomylnie odnajdywała się w modnym dancingu, w „Adrji" lub w „Bodedze". Wszyscy narzekaliśmy na bezmyślność i wulgarność dancingów, na niedobrane w nich towarzystwo, bo rzeczywiście mogłaś tam spotkać



Margrabina Zygmuntowa Wielopolska

dzisiaj



P. dyr. Mieczysławowa Ścieżyńska



P wojewodzina Władysławowa Jaroszewiczowa, znana pianistka



P. Marszałkowa Kazimierzowa Świtalska

obok księcia, ministra, senatora, jego fryzjera, krawca i manicurzystkę, — a pomimo to ciągnął nas właśnie tłok, świetna orkiestra Golda i Petersburskiego, grająca modną „rumbę" oszałamiająco, zetknięcie się z czemś nieznanem...

Innym terenem zabaw były kluby, oczywiście nie polityczne, bo tych unikano dość starannie, ale kluby bridżowe. Może ci się to wyda zabawne; bridż był naszą wielką pasją. Nieraz istna tragedja rozgrywała się w duszy pięknej pani: grać w bridża, czy tańczyć? Więc, — marząc o tańcu, przegrywała w bridża, a tańcząc, zapominała o tancerzu i martwiła się niedolicytowanym szlemikiem. Około 32 roku zdobyły ówczesne kobiety jeszcze jedną placówkę: sforsowały kluby męskie. Bo wyobraź sobie, że kobiety miały wówczas tylko jeden czy dwa kluby kobiece, bardzo skromne i tylko raz lub dwa razy na tydzień otwarte. Natomiast mężczyźni posiadali ładne, dobrze urządzone lokale i bronili do nich dostępu kobietom niczem lwy. Dzięki jednak niezmordowanej energji żon i córek, męskie kluby zostały zdobyte, narazie na jeden dzień w tygodniu. Oczywiście inwazja taka obniżyła poziom bridża, — zmusiła za to członków, by się codziennie golili i więcej dbali o czyste mankiety i kołnierzyki.

Malarze, muzycy, aktorzy i literaci urządzali niekiedy pikniki. Jak to się odbywało, opisał świetnie Kornel Makuszyński w swoich „Listach". Przypuszczam, że uczyłaś się o nim w szkole i potrafisz ten tom odnaleść. — Były to miłe wieczory, podczas których werwa i humor, uroda i talent stawały naprzeciw siebie z kieliszkiem w ręku — wzajem się podniecając i stwarzając — niekiedy — nastrój wesołego szaleństwa.



P. pułkownikowa Janowa Głogowska



P. Michałowa Mościcka w stroju stylowym z tegorocznego karnawału



P. ministrowa Konopacka-Matuszewska w kostjumie balowym

W ówczesnej Warszawie, która od tak niedawna stała się stolicą Europejską, odrębną rubrykę w życiu towarzyskiem stanowiły przyjęcia w ambasadach, legacjach i u przedstawicieli rządu. Ambasady mieściły się przeważnie w pałacach magnackich, których właściciele już w 32 r. przeżywali kryzys i zmuszeni byli swoje siedziby odstępować obcym. — Należało do dobrego tonu być zapraszanym na takie przyjęcia i niejeden sporo się namęczył, zanim zdobył kartę wstępu do ministra X, lub ambasady Y. Z konieczności musiały to być przyjęcia trochę sztywne, gdyż najmilsi nawet gospodarze skrępowani byli ceremonjałem w doborze gości, zaś goście stanowiskiem gospodarzy. Zato przyjęcia te miewały piękną oprawę wnętrz polskich pałaców, na tle których łatwiej było stwierdzić, że wersja o urodzie i wdzięku polek pozostała zawsze aktualną.

Wreszcie najnudniejsze z zabaw — to były bale publiczne. Taki bal był zawsze środkiem do zdobywania pieniędzy na instytucje dobroczynne i społeczne, chronicznie cierpiące na brak funduszów. Sprzedawanie biletów było wielką męką, bo pomimo że Warszawa już była dużem miastem miljonowem, grono pań bawiących się było zawsze to samo i jedna drugiej stale proponowała bilety na tę samą „imprezę". To też pomimo zapewnień, że „bilety tylko za zaproszeniami", sprzedawało się je przy wejściu każdemu. W tych warunkach trudno było mówić o doborze towarzystwa i o eleganckim wyglądzie sali. Były oczywiście bale z ustaloną reputacją dobrej zabawy i dobranego towarzystwa, na które bilety rozchwytywano, gdyż ton tym zabawom nadawał protektorat osoby wysoko postawionej społecznie. Sztuki tej jednak nie można było nadużywać i tylko niektóre instytucje mogły sobie na taką wysoką opiekę pozwolić.

Widzisz więc moje dziecko, że i nasz karnawał bywał wesoły i niewyspany. A ile historycznych dziś nazwisk mogłabym ci przytoczyć! Kto z kim tańczył, a kto z kim flirtował! Tego przecież nie zrobię. Macie z pewnością jakiegoś nowego Wasylewskiego: niech on szuka śladów naszych zabaw w starych listach.

Janina Janicka

Nowy prezes organizacji dziennikarskich



DR. BOLESŁAW KOSKOWSKI, B. SENATOR, NACZELNY PUBLICYSTA „KURJERA WARSZAWSKIEGO", ZOSTAŁ OBRANY PREZESEM ZWIĄZKU SYNDYKATÓW DZIENNIKARSKICH RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Polska Agencja Telegraficzna w nowej siedzibie



UROCZYSTOŚĆ POŚWIĘCENIA NOWEJ SIEDZIBY P. A. T. Fot. P. A. T.



NOWY GMACH P. A. T.

Popularny „PAT", rozproszony po różnych lokalach, znalazł wreszcie odpowiednie pomieszczenie: odziedziczył po Banku Gospodarstwa Krajowego obszerny gmach przy ul. Królewskiej. W ubiegłą niedzielę odbyło się poświęcenie nowej siedziby, przyczem p. minister Stamirowski udekorował krzyżami zasługi naczelnego dyrektora P. A. T., p. Starzyńskiego i kilku zasłużonych tej instytucji pracowników.

Rozwój Polskiej Agencji Telegraficznej pod obecną dyrekcją jest oczywisty. Byłby niechybnie jeszcze intensywniejszy, gdyby nie brak środków, który u nas wszelki większy rozmach paraliżuje. Mimo to liczba agend P. A. T. wciąż się powiększa, działalność ich — udoskonala się. Obecnie już P. A. T. liczy około 130 współpracowników.

„Ifigenja w Aulidzie", tragedja Eurypidesa w Teatrze im. Słowackiego w Krakowie

Teatr krakowski pozwolił sobie na gest wielkopański, w epoce kryzysu, jeremiad i „konjunktur", na anachronistyczny wybryk w kierunku najczystszego piękna. Wystawiono po raz pierwszy chyba od czasów starożytnej Grecji (oczywiście po za amatorskiemi przedstawieniami ośmoklasistów w humanistycznych gimnazjach) „Ifigenję w Aulidzie" Eurypidesa.

Zbliżyć ku nam po przez tysiące lat nieśmiertelnę piękno tej drgającej uczuciem, namiętnością i grozą tragedji, zakończonej nieomal pogodnie dzięki interwencji Artemidy — dobra dea ex machina w roli Jehowy w ofierze Abrahama — sprawić, że z zaciekawieniem, potem ze wzruszeniem słucha dzisiejszy sceptyczny widz perypetji odwiecznego mitu, to naprawdę na miarę mitologji zakrojony, bohaterski teatralny czyn. Na piękne przedstawienie złożyły się: przez cały



prawie zespół wybornie mówiony wiersz, rytmika gestu i słowa, oraz przekład Jedlicza jędrny, ścisły a nie pozbawiony polotu. Z niezwykłą starannością i dyskrecją zharmonizowano stronę wokalną spektaklu; klasyczny patos Eurypidesowej strofy skojarzył się z pseudoklasycznym pełnym sentymentu, ośmnastowiecznym patosem muzyki Glucka. Na tem tle zajaśniała w pełni rola tytułowa, zagrana przez panią Żaklicką z wdziękiem, szczerością i umiarem, jaki rzadko na scenach naszych napotkać można.

Nie wiem, czy wskrzeszenie echa starej Hellady podwawelskim Atenom przypadnie do smaku. Ale smętnej Tragedji i ponuremu Sfinxowi z kurtyny Siemiradzkiego przypomniały się napewno minione dni Aranjuezu, kiedy Polska wędrowała w pielgrzymce do krakowskiego teatru.

K. F.

„ICH SYNOWA" W TEATRZE POLSKIM

Zestawienie dwóch sfer społecznych i towarzyskich zawsze daje dobry efekt na scenie: wytwarza komiczne sytuacje i pozwala wniknąć w różnice obyczajowe. Tu Adam Grzymała-Siedlecki pokazał ponadto dwa pokolenia, przedzielone przepaścią pojęciową wojny.

Cacy, jedynaczek bogatych rodziców, zaręcza się na dancingu z manikiurzystką.

— Żeby chociaż z baletnicą — wzdycha zafrasowany papa, który doskonale rozumie postępowanie syna.

Ale mama jest mniej tolerancyjna, gorszy się, mdleje, póki przybrana ciocia manikiurzystki nie zaimponuje jej zdrowym zmysłem i poszanowaniem konwenansów towarzyskich. Dość, że manikiurzystka staje się synową właściciela trzech kamienic i ulubienicą świekry. Młodą parę trzeba wprowadzić w świat. Przy tej okazji papa powraca do półświatka, a mama zachowuje się wprost, jak „maman do wzięcia" — przez cyrkowców czy fordanserów. Już nie dziwimy się, że w takich okolicznościach trzy kamieniczki w krótkich abcugach przechodzą w cudze ręce, rodzina jest zrujnowana i dwudziestoczteroletnie małżeństwo rozbite. Sytuację ratuje energiczna manikiurzystka, która potrafiła młodego męża zapędzić do kreślenia, sama odnajmuje pokoje, handluje węglem, jest agentką ubezpieczeniową, słowem, zarabia, jak się da, i chroni zbankrutowanych teściów przed nędzą.

Morał: powojenne pokolenie praktyczniejsze jest od przedwojennego, a sklepikarze z Mokotowa więcej warci od kamieniczników ze śródmieścia stolicy.

-ski.

TEATRY MIEJSKIE W WARSZAWIE

„Don Karlos" w Teatrze Narodowym osiągnął wielkie, zasłużone powodzenie. Publiczność wypełnia co wieczór widownię, słucha w skupieniu, przyjmuje artystów entuzjastycznie. Lindorfówna, jako piękna księżniczka Eboli, święci piękny sukces. Lecz Solski, — kochany, stary Solski bije wszystkich. Co za ogień, co za głębia wyrazu, potęga gestu. Zaiste, dla tej kreacji tylko warto iść do teatru, cóż dopiero gdy wielkiego artystę widzi się w otoczeniu takich młodych, jak Malicka, Osterwa, Węgrzyn, Socha...

W Teatrze Letnim Ćwiklińska, Fertner i Jerzy Leszczyński oszałamiają w dalszym ciągu publiczność bezprzykładnym humorem. W takiej obsadzie „Wesoły Wspólnik" Rapackiego musi ciągnąć liczne rzesze spragnionych śmiechu widzów.

W Teatrze Nowym „Święty Płomień" budzi coraz większe zainteresowanie. Kto chce widzieć ten nawskroś współczesny dramat, winien się pospieszyć: ze względów repertuarowych sztuka Maugham'a niebawem będzie musiała zejść z afisza.

W próbach: „Sto dni Napoleona" Benita Mussoliniego w Teatrze Narodowym, „Bank Nemo" Verneuil'a w Letnim i „Nina" Brunona Franka w Nowym.

Wyciąg z podręcznika historyczno teatralnego dla uczęszczających na „Don Karlosa"

Szyller. Fryderyk. Wielki poeta niemiecki. Dla odróżnienia od naszego Leona Schillera pisze się przez *sz.*

Iłłakowiczówna. Kazimiera. Poetka. Współpracowniczka Emeswojsk. Dla podkreślenia pacyfistycznych tendencyj państwa polskiego „wytłomaczyła w polską mowę" *niemiecki* dramat o *hiszpańskim* królu i *francuskiej* królowej, panujących nad *Niderlandami.* Jednym poetyckim atakiem zdobyła dla Polski cztery mocarstwa — całą transzę europejskiego Zachodu. Reszty dokonał Teatr Narodowy.

J-aberski (w hiszpańskiej pisowni *h* pisze się przez *j*). Emil. Piękny smagły brunet. Spaniolog. „Habla" po hiszpańsku. Zna Aranhuez, Huana, hitany. Dobry znajomy Schillera (Leona). Reżyser „C(K)arlosa".

Don Karlos. (Po polsku, żeby trudniej było przeczytać, pisze się: *C.).* — Najnowsza kreacja Juljusza Osterwy.

Idem: poema dramatyczne w 5 aktach i 16 obrazach (nie dodawać!) — bez mu-

Międzynarodowy Konkurs im. Fr. Szopena w Warszawie



SUZANNE DE MEYERE (BELGJA)



MARJA DOŃSKA (POLSKA)



INNOCENCIA DA ROCHA (BRAZYLJA)

Drugi międzynarodowy konkurs Im. Fr. Szopena w Warszawie, zaczynający się w pierwszych dniach marca, stał się międzynarodową sensacją życia muzycznego nietylko Europy, lecz nawet innych części świata.

Zapis kandydatów, pianistów i pianistek z krajów europejskich i pozaeuropejskich dochodzi już do cyfry stu uczestników. Wśród uczestników tych (o nagrodę ubiegać się mogą młodzi adepci sztuki fortepianowej, nieprzekraczający 28 lat) spotkać można najświetniejsze nazwiska współczesnego pianizmu młodego.

Konkurs, ponieważ kandydaci obowiązani są do odegrania określonego programu, trwającego mniej więcej godzinę, — trwać będzie dwa tygodnie, lub nawet dłużej. Najprawdopodobniej koncerty szopenowskie odbywać się będą dwa razy dziennie, przed południem i po popołudniu.



HERZ LILLY (WĘGRY)

Jak wiadomo, dzięki ofiarności miłośników sztuki szopenowskiej, liczbę nagród udało się powiększyć. Prócz nagród ofiarowanych przez P. Prezydenta Rzeczypospolitej, Ministra Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, zgłosiły nagrody filja radomska Wyższej Szkoły Im. Chopin'a (1.000 złotych), firma Rudzki (500 złotych), z zagranicy zaś pewien arystokrata japoński zgłosił również nagrodę konkursową imienia swej rodziny.

Załączamy przy niniejszem podobizny kilku znakomitych pianistek, które stają do rozgrywek szopenowskich w marcu w Warszawie.

---

zyki Verdiego. Nie śmie trwać dłużej nad trzy godziny i dwadzieścia dziewięć minut! (Słowo honoru i gwarancja dwuletnia dyrekcji teatru).

Król Filip hiszpański. Rodzaj polskiego Stefana Batorego. Tak samo jak tamten pierwej był zagrany na Oboźnej przez Junoszę, potem przez Ludwika Solskiego w Narodowym.

Królowa. Ma licka z obrazka. Śliczna, dobra, mądra. Marie *savante*.

Posa. (Żeby hiszpan mógł zgadnąć, czyta się: z.) — Rola, którą dawniej skreślano do połowy, bo była niecenzuralna; dziś skreśla się drugą połowę, bo cenzuralna. Zostaje — Józef Węgrzyn.

Alba. Wbrew nazwisku czarny charakter. Twardy, mocny, jak socha.

Frycz. Także Karlos. Mistrz ceremonji hiszpańskich na dworze Teatru Narodowego.

Pozostałe wiadomości wraz z poznaniem tekstu sztuki w Kasie Teatru Narodowego lub w Orbisie za opłatą pełnego biletu teatralnego.

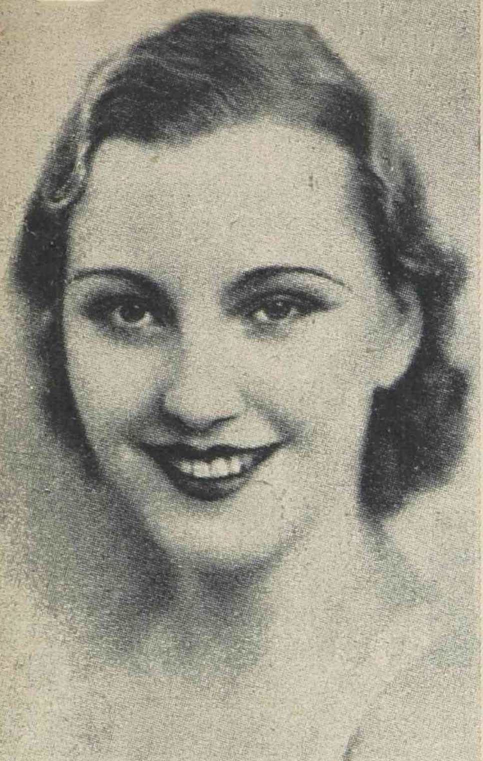


NINA GRUDZIŃSKA CZARUJE SWYM GŁOSEM W INAUGURACYJNYM PROGRAMIE „QUI PRO QUO" Fot. „Van-Dyck"

WZNOWIENIE „QUI PRO QUO"

„Stara, kochana buda" ożyła z powrotem. Gospodarze zostali ci sami: Boczkowski, Majde. Wśród tych, którzy pojawiają się na scenie, zaszły duże zmiany. Dawni ulubieńcy, z Jarossym na czele, bawią publiczność w „Bandzie". W „starej budzie" ostało się zaledwie parę osób z dawnego zespołu. Lecz dyrekcja umiała pozyskać parę cennych sił, przedewszystkiem p. Ninę Grudzińską, b. artystkę Opery, która staje się pierwszorzędną pieśniarką. W pieśniach cygańskich jest niezrównana, w tangach dobywa żar płomiennych uczuć, uroda jej niepokoi i przykuwa. Program jest umiejętnie skonstruowany, dekoracje — bardzo efektowne, girls'y tańczą wybornie, parę skeczów zupełnie udatnych. Czegóż można więcej żądać od teatrzyku rewjowego?

PIĘKNOŚCI EUROPEJSKIE


„Miss Europa" - Dunka Dare Clausen


Miss Niemcy: R. BEHNEN


Miss Francja: LYNE DE SOUZA


Miss Rosja: NINA POHL

Dorocznym zwyczajem zjechały do Paryża premjowane piękności wszystkich państw europejskich. Czasy nie są pomyślne dla monarchów, więc i one nie noszą tytułu królowych urody, lecz demokratyczną nazwę: „Miss" każdego kraju.

Pierwszy przegląd piękności odbył się na balu reprezentacyjnym „des Petits Lits Blancs" — „Małych Łóżeczek", na rzecz przytułku dla sierot. Zaszczyca go corocznie swą obecnością prezydent Republiki, w otoczeniu ministrów, dyplomatów, arystokracji rodowej, finansowej i intelektualnej Paryża.

Wśród wielu atrakcji — odbyła się też defilada międzynarodowych piękności. Największe oklaski zbierały: Miss Danja, Miss Jugosławja i Miss Hiszpanja. Niektóre przyjmowano obojętnie. Przy ukazaniu się Miss Holandji i Miss Polonji wybuchły śmiechy i drwiny. Nie można się było w nich doszukać nawet śladu urody. Zła to propaganda dla Polski. Podobno p. Dobrowolska z Poznania pojechała na konkurs piękności europejskich przez nikogo niewybierana, ani upoważniana. Drobna to sprawa, a jednak przykra, skoro naraża na pośmiewisko Polskę w oczach kraju zaprzyjaźnionego, w obecności najwyższych jego przedstawicieli.

P. Prezydent Doumer, mimo wszystko, doskonale się bawił i siedział do końca programu.

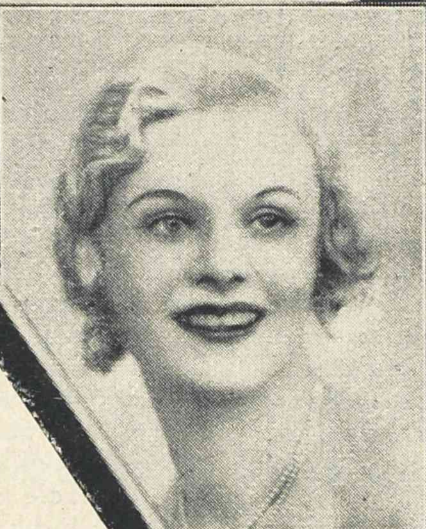
— Od lat nie poszedłem spać tak późno, ale nie żałuję wieczoru — mówił organizatorom na pożegnanie.

Była godzina druga i pół w nocy.

Po występie na balu „Małych Łóżeczek" w Operze, piętnaście piękności zabawiło jeszcze parę dni w Paryżu, poczem udały się do Nicei. Tu odbył się szereg festynów, bankietów i zabaw, na których królowały.

Tegoroczną Miss Europy została jasnowłosa, ujmująca wdziękiem Dunka. Udaje się ona do New-Yorku, aby stanąć w szranki z przedstawicielkami innych kontynentów o tytuł Miss Świata.


Miss Węgry: ICA LAMPL


Miss Anglja: G. STALLARD


Miss Jugosławja: O. DJOURTCH


Miss Rumunja: LIANA DELESCU


Miss Polska: S. DOBROWOLSKA


Miss Hiszpanja: TERESA DANIEL


Miss Czechosłowacja: I. YANOWETZ


Miss Belgja: S. DANDIN


Miss Włochy: ROSETTA MONTALI



Chińczyk

Pierre Mille

— ...Patrz pan — rzekł Barnavaux — ten zbzikowany legjonista znów tam leży.

Że człowiek ów należał do legji cudzoziemskiej, można było poznać tylko po oznakach na białym kasku, kryjącym twarz jego prawie zupełnie. Pozatem, ponieważ leżał na brzuchu, nie widać było nawet guzików na bezgranicznie brudnych łachmanach munduru khaki. Nie spał, bo dostrzec można było wyraźnie, tuż nad ziemią, błysk szeroko otwartych oczu, zdających się szukać czegoś w trawie; nie był również pijany, gdyż ręka jego, bawiąca się w dziwaczny sposób maleńkim patyczkiem, nie drżała.

Nie zwracając więcej na leżącego uwagi, Barnavaux ciągnął dalej:

— Wcale ładna stąd ta Czerwona rzeka!

Działo się to na drodze wojskowej pomiędzy posterunkami Po-Lou i Lao-Kay. Po pochyłości staczały się przezroczyste strumienie, szemrząc głośno po kamykami usłanem łożysku; rzut lekki, prosty i zwinny olbrzymich, wysmukłych bambusów wzbudzał uniesienie i radość; nieco dalej, wysoko nad nami, po szarych i modrych skałach wapiennych pięły się duże drzewa o pniach białych, gładkich, jak kolumny. Tam, gdzie nie było bambusów, dzikie banany zagarniały na własność górzysty grunt. Wokoło ich łodygi okrągłej, miękkiej a tak pełnej soku, że wystarczało wbić w nią laskę, aby natychmiast wytrysnęła klarowna piana, wznosiły się symetrycznie ich olbrzymie liście, aby otoczyć zwisającą szypułkę wydłużonego kwiatu o ciemnym i ciepłym kolorycie ponsowego aksamitu. Na tym wielkim spokojnym kwiecie jakby inne kwiaty, mniejsze, czerwieńsze, prawie szkarłatne, drgające: to maleńkie ptaszki, uciekające przed nami gromadnie, ptaszynki pijane miodem! Czarna ziemia pachniała rozkładem, płodnością, kiełkującem nasieniem i owadami, — gdyż owady również mają swoją woń, kiedy słońce pali w lecie, a miljardy ich prawie niewidzialne, pośród ziół, w rozbrzmiewającem powietrzu i w głuchej ziemi, latają, pełzają, polują, pożerają się, grzeją jaja i poczwarki.

Jeszcze dalej, poza bujną roślinnością, ukazywała się Rzeka Czerwona, wartka, przelewająca się na progach, zamulona krwawemi glinami, spłukanemi ze skał zmurszałych w górze rzeki wśród wyżyn, które unosiła ku południowi, tam aż po deltę ludnego Tonkinu. Duże chińskie dżonki z wysiłkiem płynęły w górę rzeki. Ciężkie, obszerne, niskie, cierpliwie posuwały się pod prąd, przy pomocy żagla z plecionej słomy i okutych drągów bambusowych trzymanych przez ludzi, biegających bezustannie od przodu do tyłu, zwinnych, cierpliwych, nieumęczonych, o żółtej skórze, będącej czemś pośrednim między czarnem i rudem, zmniejszonych przez odległość, zgiętych, jakby czołgali się na czworakach.

— Myślałby kto, że mrówki—odezwał się Barnavaux.

Wówczas człowiek leżący w trawie podniósł głowę i uśmiechnął się. Miał dziwne oczy, piwne, otoczone kółkiem szarozielonem, oczy odbijające od reszty twarzy człowieka Północy: jasnych, prostych włosów, szorstkiej, jasnej brody, piegów widocznych wszędzie, gdzie nie było włosów, całości raczej przypominającej dużego psa, mądrego, lecz nieco szalonego.

— Tak — rzekł — mrówki, które przybyły stamtąd, z tych wielkich mrowisk.

Szukał oczami północy: gór na horyzoncie, poza któremi są Chiny, cały ogrom żółtych krajów.

To dawny oficer rosyjski — powiedział półgłosem Barnavaux. — Mówią, że służył w marynarce w Porcie Artura, podczas wojny rosyjsko-japońskiej... Potem zdezerterował i przybył tu i wstąpił do legji. Z jakiego powodu?... Może i nie miał powodu: mówię panu, że on ma bzika. To wystarcza. Zresztą nie on jeden.

Zdaje mi się, że legjonista usłyszał. Mimo to dodał z uśmiechem:

— Proszę spojrzeć na te prawdziwe mrówki — rzekł. — Co za podobieństwo, nieprawdaż, co za podobieństwo.

Dostrzegłem wówczas, że leżał wpoprzek drogi dużych czerwonych mrówek. Nad temi to owadami rozmyślał, jak duży dzieciak, nie mający nic do roboty.

— Oto — ciągnął — mrówka, która nie niesie niczego w mackach i która może zabłądziła. Drażnię ją tem źdźbłem słomy: jakże się boi, jaka jest tchórzliwa. Traci głowę, ucieka, jak szalona. Przeciwnie, tamtej, wracającej do mrowiska z kawałeczkiem drzewa, nic z drogi nie zawróci. Patrzcie, ciskam w nią kamyk, nawpół ją zmiażdżyłem. Co jej to szkodzi? Wychodzi z katastrofy z trzema łapkami, z brzuszkiem spłaszczonym, jednym rożkiem złamanym, lecz nie upuściła słomki. A jeśli probuję wyrwać jej tę słomkę, nie waha się, gryzie, walczy ze mną, — ze mną, potworem tak wielkim, że jej oczy prawdopodobnie nie mogą mnie całego objąć. Czy pan rozumie, co to znaczy? To znaczy, że mrówka, mająca swoją pracę, jest jak lunatyczka. Nie może już sobie nic innego wyobrazić poza tą pracą, straciła wolę, straciła nawet instynkt samozachowawczy. To samo dzieje się prawdopodobnie z ptakami ścielącemi gniazdka, wychowującemi małe; to jest to, co się nazywa instynktem; nakaz, który jest ponad jednostką. Otóż ci żółci, ten miljard żółtych, są jak mrówki i jak ptaki: mają lunatyzm swojego obowiązku i dlatego ja się ich boję!

Po dziwacznej twarzy człowieka - psa przeleciał nagle wyraz przerażenia tak bolesnego, że zdjęła mnie chęć ucieczki.

— Byłem na *Petropawłowsku*—rzekł— byłem na *Petropawłowsku*...

— Pancernik pod rozkazami admirała Makarowa w Porcie - Artura,który wyleciał w powietrze—szepnął Barnavaux.— Biedak! Rozumiem teraz, rozumiem dlaczego...

Stuknął się w czoło znacząco.

— Co za okropność — szeptał legjonista — co za okropność. Nie róbcie min tajemniczych, aby sobie powiedzić, że mam źle w głowie. Nie warto, bo ja się i tak nie rozgniewam. Popełniacie jednak mały błąd: głowa moja mocna, to tylko nerwy mam rozsprzęgnięte i... może duszę. Nie mogę znieść, kiedy gdzieś za mną drzwi trzasną, a kiedy mi kto położy rękę na ramieniu, omal nie upadam. Lecz pamięć moja funkcjonuje sprawnie i mózg mój nie tknięty. Pamiętam wszystko. Ale co pamiętam, tego byście nigdy nie zgadli: boję się o przyszłość, boję się o białe rasy. Rozumiecie mnie?

— ...Admirał nie chciał rozpocząć walki. Wyszedł na pokład, żeby przećwiczyć załogę a szczególnie oficerów; nie spodziewał się niczego złego, kiedy wielkie pociski zaczęły padać. Wróg tak źle mierzył — miał w tem cel ukryty, że nam strat nie wyrządzał. A nawet kiedy zaczął nas dosięgać, przed nami, jakgdyby uszanowany przez ten deszcz wielkich stalowych wrzecion, smagających morze, jak grad sadzawkę, rozciągał się pas spokojnych wód. Był to podstęp, tam chciano nas zwabić, lecz nikt z nas nie domyślił się tego i skierowaliśmy się ku tej spokojnej wodzie. Zaledwie opuściliśmy wówczas cieśninę, gołem okiem rozróżniało się jeszcze wyraźnie semafory. Nieprzyjaciel zwiększył ogień. W maszt sygnałowy uderzył pocisk, łamiąc go. Wartujący oficer zabity został na miejscu i pamiętam, och, pamiętam... część jego wnętrzności i cała przepona, coś jakby łachman białawy i przezroczysty, pozostały zaczepione o szczątki masztu: przypominało to mięso u rzeźnika, rozwieszone na sprzedaż! Poza tem różne instalacje przestały funkcjonować poczęści sparaliżowane; elektryczność przecięta, dźwigi skrzywione, unieruchomione. Admirał wydawał rozkazy, lecz do kogo należał nadzór nad elektrycznością, kto powinien był zająć się dźwigami? Czy wy, Piotrze Efimowiczu? czy wy, Sergiejewie? Nic już nie wiedziano, i zdaje mi się, że wogóle to nigdy nie było wiadome. Ach to, to jest wstyd, wstyd, powiadam wam; nikt nie wiedział, co ma robić, wszyscy stali bezradnie.

I nagle, od lądu, ukazało się czółno, brudne, małe chińskie czółno, z dwoma ludźmi, którzy manewrowali tak, aby nam przeciąć drogę i połączyć się z na-

mi. Tam właśnie, gdzie przepływało na morzu, śmierć szerzyła największe spustoszenie. Pękające nad niem granaty sypały ogniem i odłamkami żelaza, olbrzymie pociski zapadały się w wodę przed i za czółnem, a ta śmieszna łupinka płynęła ciągle, spokojnie, równo, a dwoje wioseł zagarniało wodę regularnie. Czego to czółno chciało od nas, czego? Z czemś ważnem przybywało napewno; tych dwóch ludzi nie ryzykowałoby śmierci, chyba że dla wypełnienia świętego obowiązku, pilnego, naglącego, koniecznego. Zatrzymaliśmy się, czółno stanęło u naszego dziobu i jeden z ludzi wdrapał się na pokład. Był to Chińczyk, niosący dość ciężki koszyk z plecionej trzciny. Postawił go na pokładzie i złożył niski ukłon, przykładając dłonie do piersi.... Pocisk pękł z lewej strony, tuż przy nim, i czterech ludzi padło martwych, rozszarpanych. Chińczyk złożył drugi ukłon. Twarz mu nawet nie drgnęła.

Kapitan Stepanow skoczył ku niemu.

— Co się stało — zawołał — skąd przybywasz i poco? No, mów:

Chińczyk złożył trzeci ukłon i odpowiedział w żargonie pidgin *).

— Panie komendancie, ja przynieść bieliznę panów oficerów. Bardzo się spieszył.

Otworzył koszyk, jakby zawierał hostję świętą, i oczom naszym ukazały się gorsy, pidżamy, dolmany białe, białe spodnie, koszule starannie ułożone, każda paczka osobno dla każdego z klientów.

Był to pracz. Powiedziano mu, żeby odniósł bieliznę na dziesiątą rano, a kiedy przybył, statku w porcie nie było. Wówczas wsiadł w czółno ze swoim synem. Ze swoim synem, rozumiecie? Przecież kazano mu odnieść bieliznę na dziesiątą. Wyjął z koszyka drewniane tabliczki, pokryte jakiemiś znakami i nacięciami.

— Kto tu liczyć bieliznę — rzekł.

Właśnie wjeżdżaliśmy w ten pas, o którym mówiłem, tę jakby aleję spokojnej wody, gdzie nic już nie padało i patrzyliśmy na Chińczyka, zdumieni jego odwagą, jego heroizmem, jego nieświadomością; nie, to wszystko, to są słowa europejskie, słowa nieodpowiednie; byliśmy przygnębieni, upokorzeni, bo on nie myśląc o niczem, ot, tak poprostu, *zrobił to, co miał do zrobienia*. Podczas gdy my, o hańbo!..

Huragan stalowych pocisków padał na prawo od nas, padał na lewo; nawpół pijani po przebytej straszliwej męce, z mózgiem w ogniu, mówiliśmy sobie wszyscy: „Skończyło się, to nie było na dzisiaj, wymknęliśmy się". A wówczas tamci, a ja zapewne z nimi, zaczęliśmy drwić z Chińczyka, bośmy się mieli za ocalonych, bośmy się cieszyli, bo nam było wstyd przed nim. Powtórzył znów grzecznie:

— Gdzie boy, co liczyć bieliznę?

I biorąc do ręki drewniane tabliczki, zawołał.

— Panie poruczniku Piotrze Efimowicz.

— Chcesz zobaczyć się z Piotrem Efimowiczem—ktoś się odezwał. — Spójrz, tam!...

I podniósł rękę ku masztowi sygnałowemu. Temu, na którym zwieszała się ta ohyda, pamiętacie panowie.

Chińczyk podniósł głowę i nie wiem, co byłby powiedział. Ja nie wiem, ani nikt, ani on, gdyż właśnie dotarliśmy do pułapki, do pułapki, do której byliśmy doprowadzeni, do dwóch min zanurzonych wśród spokojnych wód. Nie bardzośmy cierpieli; ostatecznie, to jest tylko takie uczucie, jakby ci się serce odczepiło. Nagle zobaczyłem wielkie zwały wód, tryskające w górę po tej stronie, na którą właśnie patrzyłem i już okręt się nie podniósł. Był przecięty na dwoje... Oto czem jest życie tysiąca pięciuset ludzi: nie potrzeba wiele czasu, żeby stało się niczem, nicością, zgnilizną. Mnie wyłowiono przypadkiem...

— A Chińczyk? — zapytałem.

— Skąd pan chcesz, żebym wiedział?— zawołał legjonista z nagłą wściekłością w głosie — i co to pana obchodzi? I tak jest ich aż za wielu. Sześćset miljonów w mrowisku. A wszyscy lunatycy, kiedy mają swoje zadanie do spełnienia, jak prawdziwe mrówki: ślepi, głusi, nieczuli, bez nerwów. Będzie ich jeszcze zawsze zadużo, powtarzam panu.

Próbował nadać wyraz spokojniejszy swoim oczom zabłąkanego zwierzęcia.

— Przybyłem do legji dla dyscypliny. Chcę się nauczyć karności. Bez tego, co! Co się z nami stanie, z nami Europejczykami?

Przełożyła W. Peszkowa.

*) Skażony język angielski, używany przez Chińczyków.

DWIE HRABINY W „BANDZIE"





HANKA ORDONÓWNA, po mężu MICHAŁOWA Hr. TYSZKIEWICZOWA, i LODA HALAMA, zaślubiona ANDRZEJOWI Hr. DEMBIŃSKIEMU, występują w świetnym programie: „Naprzód Banda". Wejście do rodów arystokratycznych nie zwichnęło karjery artystycznej ulubienic publiczności warszawskiej. Zarówno największa nasza vedetta, jak i znakomita balerina co wieczór entuzjastycznie oklaskiwane są w „Bandzie"

Niema kryzysu!

Djalog z kucharką.

Zupełnie niespodzianie nastąpiło zbliżenie między mną a Marjanną. Modystka przysłała przed pierwszym panienkę z rachunkiem za kapelusz.

— Co zrobić? — westchnęłam żałośnie.

Nic nie zrobić! — odezwała się moja Marjanna, sprzątająca pokój — niechno panienka idzie z powrotem do magazynu i powie, że przed pierwszym nawet panie ministrowe nie płacą. Tylko te, co kradną, mogą płacić codzień. Rozumie panienka. I niech panienka powie, że moja pani jest żoną uczciwego pana inżyniera. I że szkoda fatygi. I że jeżeli panienkę jeszcze raz przyślą, to i po pierwszym nic nie damy, a po nowy kapelusz moja pani pójdzie gdzieindziej. I niech panienka powie swojej pani, żeby nie telefonowała, bo to nic nie pomoże. I ma tu panienka pięćdziesiąt groszy za fatygę, a na drugi raz to kijem przepędzę.

— Moja Marjanno...

— Ja do pani inżynierowej z pokorną prośbą, żeby mnie nie nazywała Marjanną.

— Mam mówić Janowa?

— Żeby mi się co chwila przypominał ten mój chłop? Niech pani mówi do mnie „gosposiu".

— Dobrze gosposiu, ale właściwie dlaczego?

— Bo Marjanna to się mówi na służącą do wszystkiego, Marysiu na pokojową, a na rzetelną kucharkę — gosposiu.

— Przecież gosposia jest u mnie do wszystkiego.

— Tylko bez ten kryzys. Sześć lat byłam u pani dyrektorowej za kucharkę, pięć lat u pani prezesowej za gosposię, i teraz jezdem kucharką u pani inżynierowej, a te cztery pokoiki sprzątam, bo mi się pani inżynierowa podoba i u kupca mówiono, że pani do garnków się nie wtrąca, a pan inżynier nie jest na swojem, ino pracuje u zagranicznych.

— Bardzo się cieszę, że mam taką dobrą opinję w sklepie.

— Opinja, proszę pani, to w tych czasach bardzo wiele znaczy. Opinja to kredyt, a kto ma kredyt, nie zginie. Ale opinje to trzeba mieć albo bardzo dobrą, albo bardzo złą. Dlatego u nas w kraju nikt nie zginie: uczciwemu skredytują, a złodziej ukradnie.

— Więc dlaczego ten kryzys?

— Z tym kryzysem to też wielka przesada. Dawniej także bogaci biednieli, tylko że wstyd było się przyznać. A teraz, proszę pani inżynierowej, to taki, co nawet zarobił na kryzysie, chwali się, że komornik opieczętował mu meble. Taka już moda.

— Więc gosposia nie wierzy w kryzys?

— Jaki tam kryzys! Na jenteligencję nastały ciężkie czasy. Ale to taka koleja. I wszystko przejdzie, jak się inteligencja przyzwyczajać zacznie do braku pieniędzy.

Moje głębokie westchnienie było aż nazbyt wymowną odpowiedzią.

— Pani się krępuje, jak nie może zapłacić odrazu rachunku, albo i nie chce brać nic na kredyt. A ja tam pani inżynierowej, jeżeli potrzeba, to i pożyczę do pierwszego, tylko nie na żadne magazyny, bo mogą czekać; ale w razie jeśli pani inżynierowa chce skoczyć do kina, albo na kawę... Gosposia zawsze ma zrozumienie, że kobieta zamężna, czy służąca, czy pani, rozrywki potrzebuje, a zwłaszcza już w tych ciężkich czasach, gdy mąż chodzi kwaśny.

— To i mąż gosposi chodzi kwaśny?

— Jak ten ocet! Gniewa się na tę politykę i na rząd. A ma prawo, bo jest w służbie państwowej — woźny magistracki. Mówi, że tak mu smutno, a kiedy smutno, to musi zalać robaka. Taki już ten naród. Jak wesoło, to pije na wiwat, jak smutno — zalewa robaka.

(na)

25-lecie firmy „AD ASTRA"

W dniu 4 marca r. b. „Ad astra" (Skład materjałów piśmiennych) obchodziła 25-lecie swojego istnienia.

Firma ta została założona w r. 1907 przez p. Bronisławę Kobuzowską, która odrazu postawiła nową placówkę na mocnych podstawach i nadała jej duży rozmach dzięki swoim wyjątkowym zaletom organizatorskim; jej energji, jej wielkim zdolnościom handlowym i wyjątkowej wytrwałości zawdzięcza firma swój rozwój i ten rozkwit, do jakiego obecnie doszła.

Do r. 1925 firma „Ad astra" mieściła się w tym samym domu (przy ul. Nowy Świat 1, róg Placu Trzech Krzyży) ale w sąsiednim lokalu — obecny magazyn narożny zajmuje od lat 7.

Na specjalne zaznaczenie zasługuje fakt, że „Ad astra" zawsze starała się wprowadzać na nasz rynek towary krajowe w jaknajlepszym gatunku.

W związku z jubileuszem firma urządza specjalny „Tydzień Jubileuszowy" (od 4 marca r. b.), w ciągu tego tygodnia dla spopularyzowania firmy, będzie się sprzedawać po bardzo niskich cenach cały szereg artykułów jako to: papeterję, wieczne pióra, ołówki automatyczne, albumy do fotografji i t. p.

Jesteśmy przekonani, że nasza publiczność skorzysta z nadarzającej się okazji taniego kupna i pospieszy do firmy „Ad astra" zaopatrzyć się w potrzebne artykuły, tymbardziej, że czeka ją tam szereg miłych gratisowych niespodzianek, rozdawanych przez firmę swojej klijenteli z powodu jubileuszu.

J. W.

Każda kobieta może być piękna

Każda kobieta, nie posiadając nawet skończenie regularnych rysów i kształtów, może być piękną jeśli dba o siebie, gdyż piękność, polega głównie na blasku i czystości karnacji, na świeżości, białości i jędrności cery.

Dzięki naszej wiedzy i naszemu wieloletniemu doświadczeniu, nic łatwiejszego jak osiągnąć piękną karnację i utracić wszystkie szpecące kobietę defekty jak zmarszczki, „gęsie łapki", worki pod oczami, wągry, cerę ziemistą, żółtą i t. d. i. t. d.

Krosty, piegi, czerwoność twarzy, obwisłe policzki, podwójne podbródki, zbytni rozwój niektórych części ciała, wszystko to może być zwalczone zwycięsko dzięki metodzie Instytutu Kéva oraz dzięki stosowaniom jego preparatom naukowym, gdyż łatwo zrozumieć, że nie można pokonać i zwalczać wszystkich niedokładności i braków urody kobiecej przy pomocy jedynego uniwersalnego środka.

Rad oraz wskazówek jakie zabiegi należy stosować w poszczególnych wypadkach udziela z całą gotowością *Institut Kéva*, 23 ul. Tronchet w Paryżu oraz *Institut de Beauté Femina* w Warszawie, Krucza 6, tel. 830-13. Na żądanie wysyła franco „Podręcznik piękności".

Nowelka *J. Creanga:* „JAN ROATA I KSIĄŻĘ CUZA", zamieszczona w poprzednim № 9 „Świata", została przetłumaczona z rumuńskiego przez p. *Konstancję Mayzlównę.*

CO CZYTAĆ?

„NA PRZEŁOMIE DWÓCH EPOK", „SUWERENNOŚĆ PAŃSTWOWA I INTERNACJONALIZACJA PRAWA", „DUCHOWE OBLICZE POLSKI".

W opinji europejskiej wytworzył się obecnie interesujący nastrój oczekiwania na jakąś ważną zmianę. Przypomina to epokę millenarystów. I wtedy czekały społeczeństwa chrześcijańskie na zapowiedziany jakoby „koniec świata". Obecnie oczekuje się na domniemane bankructwo kapitalizmu, nasłuchuje „dobrej nowiny" ze Wschodu. Kryzys gospodarczy spowodował rozprężenie kulturalno-moralne. Równocześnie nowinkarstwo radeby znaleźć jakąś ideję czy idejkę, by ratować swój głód zmiany. Trudne to jest niezmiernie w czasach obecnych, gdy rytm pracy zmalał, a właśnie uporczywa praca może tylko przynieść ratunek. Tkwi w tem paradoks, gdyż wartość i celowość trudu w chwili obecnej jest również pod znakiem zapytania. Mamy przecież w Europie i Stanach Zjednoczonych zgórą 20 miljonów ludzi bez pracy. Nie znaczy to jednak, że bez wysiłku naszych mózgów, bez inicjatywy i dobrej woli dałoby się opanować sytuację. Wielokrotnie wypowiedziano już opinję, iż znajdujemy się „na przełomie dwóch epok". Czyż z tego należy wysnuć wniosek, że dorobek cywilizacyjny i organizacyjny wieku XIX-ego był bezwzględnie ujemny? Raczej może należałoby mocno oprzeć się na tych wzorach, wypróbowanych a zmąconych przez wielką wojnę. Nie dogadza to wielu niecierpliwym reformatorom. Do niedawna stawiano nam, europejczykom, za wzór amerykańską „prosperity" lub też bolszewicki komunizm. Teraz sytuacja zmieniła się jeszcze więcej na niekorzyść, gdyż kryzys oddziałał i na Amerykę. Czyżby pozostawał tylko komunizm? Byłaby to kapitulacja. Stara Europa posiada jeszcze dosyć sił duchowych, by znaleźć drogę wyjścia.

Polska na wschodzie sąsiaduje z państwem, czyniącem bezwzględny eksperyment komunistyczny na własnem społeczeństwie. Na zachodzie obserwujemy doniosłe fluktuacje w gospodarce. Jakiż z tego wypływa wniosek? Obserwując te zjawiska, możemy prowadzić nasze zadania po drodze rozważnej, nie poddając się psychozie ani eksperymentatorstwu, sprzecznemu z tendencjami rozwojowemi. W materji tej napisał książkę Artur Śliwiński pt. „Na przełomie dwóch epok". W siedmiu rozdziałach, jak „Zdobycze techniki i rewolucja w świecie pracy", „Katastrofa bezrobocia i racjonalizacja pracy", „Walka o złoto", „Nędza z nadmiaru bogactw", „Parlamentaryzm i dyktatura", „Socjalizm — bolszewizm — faszyzm", „Zmierzch współczesnej kultury", zgromadził on wszystkie znamienne zjawiska domniemanego przełomu. Autor przypuszcza, iż „nad Wisłą rozegrają się wypadki o epokowem dla ludzkości znaczeniu". Warto wywody te przeczytać. Nie przemawia nam jednak do przekonania wyczekiwanie na ten dziejowy zaszczyt.

Podobne zjawiska ma na względzie rozprawa p. Michała Wawelberga p. t. „Suwerenność państwa i internacjonalizacja prawa". Szuka on rozwiązania współczesnych bolączek społecznych, politycznych i gospodarczych na drodze internacjonalizacji pracy. Ciekawy ten przyczynek zasługiwałby na wnikliwą uwagę. P. Michał Wawelberg nie jest zwolennikiem obecnych demokratycznych czasów. Uważa przytem, iż „suwerenność państwowa powinna być ograniczona, zresztą dawno przyjęta zasada rozgraniczenia władzy wykonawczej od władzy ustawodawczej jest w zupełności zgodna z tą koncepcją, powinna jednak być wprowadzona w skali międzynarodowej". W rozdziale o „Prawie własności" wychodzą na jaw wszystkie główne motywy, dla których autor chciałby zinternacjonalizować prawo i oddzielić je od suwerenności państwowej czy też postawić ponad suwerennością.

Dla czytelników umiejących po-niemiecku Dr. A. von Guttry napisał broszurę pt. „Duchowe oblicze Polski" (Polens geistiges Antlitz). Publikacja ta ma na celu propagandę wiadomości o naszym dorobku kulturalnym. Zapewne już znajduje się na rynku księgarskim Austrji, Niemiec i Szwajcarji niemieckiej, dając w ogólnych linjach zarys historycznego rozwoju polskich wysiłków i zdobyczy w dziedzinie ducha.

E. C.

ZGON ZNANEJ LITERATKI



Ś p. Cecylja Marion, znana powieściopisarka, autorka „Miražów" i „Rozbitych Gniazd", zmarła w Warszawie, dnia 31 stycznia r. b.

Ś. p. Dr. Czesław Jankowski

Ś. p. Dr. Czesław Jankowski urodził się, 15 Lipca 1877 r. w Radzyminie, po ukończeniu gimnazjum wstąpił na wydział medyczny Uniwersytetu Warszawskiego, który ukończył w 1898 r., po otrzymaniu dyplomu lekarskiego objął stanowisko ordynatora w szpitalu Św. Ducha, pracując z zapałem na tej odpowiedzialnej placówce, na której pozostawał do 1914 r. Z chwilą wybuchu wojny, został powołany na stanowisko lekarza do armji rosyjskiej, gdzie go odkomenderowano na front turecki. W wojsku rosyjskiem, pozostawał do 25 lipca 1918 r. W roku 1919 wstąpił do armji polskiej, gdzie piastował stanowisko starszego ordynatora Mokotowskiego Szpitala wojskowego. W 1926 roku wystąpił z armji wskutek choroby sercowej, której nabawił się podczas wojny i która przerwała pasmo Jego pożytecznego żywota. Umiłowawszy gorąco swój tak doniosły zawód i pragnąc całem sercem przynosić ulgę cierpiącej ludzkości, poświęcił całą swoją wiedzę i siły zwalczaniu strasznej choroby raka. W związku z tym celem swego życia był inicjatorem i twórcą Instytutu Przeciwrakowego im. Curie-Skłodowskiej, zajmując stanowisko wice prezesa komitetu do walki z tą klęską. Nie mogąc z powodu trapiącej go choroby serca poświęcić się praktyce lekarskiej prywatnej, coby pociągnęło za sobą liczną frekwencję kuracjuszów, a co zatem idzie przeciążenie pracą, pragnąc zaś jednocześnie nieść ulgę cierpiącym ś. p. Dr. Czesław Jankowski przyjmował do chwili zgonu czynny udział w Kasie Chorych.



Ś. P. DR. CZESŁAW JANKOWSKI

Nieubłagana śmierć przerwała przedwcześnie pasmo żywota tego niezmordowanego, a tak pożytecznego działacza na polu walki z klęską nieuleczalnej dotychczas choroby raka.

Zgasł dnia 25 lutego r. b. pozostawiając żonę Wiktorję ze Strzałkowskich oraz trzech braci inżynierów. Spoczął na cmentarzu Powązkowskim.

Cześć Jego nieodżałowanej pamięci.

NOWY FILM W KINO-PALACE: „DWA SERCA W JEDEN TAKT“



Liljana Harvey i Henri Garat w czarującym filmie reż. W. Thiele FOT. WARSZ. K. S. A.

Szlakiem dziesiątej muzy

NOWY FILM POLSKI

Po „Sybirze", zachęceni olbrzymiem powodzeniem, jakie film ten zdobył, jego realizatorowie postanowili na nowo zatryumfować — tym razem wielkim filmem historyczno-współczesnym. Rok 1914 — wybuch wojny, wkroczenie legjonów w granice b. Kongresówki — oto temat i tło tego filmu, który istotnie rozpoczyna się bardzo interesująco i z takim rozmachem, że widz przypuszczać zaczyna, że będzie miał do czynienia z epopeją. Upoważnia go poniekąd do tego mniemania i to, że scenarjusz Sterna i Szary opatrzył swoim podpisem, jako współautor, pisarz tak wybitny i tak doskonale obznajmiony z historją legjonów, jak Wacław Sieroszewski.

Wielka rzeka — zdawałoby się — rozleje się falą potężną, w której zginą, zdławione porywem ogromnym, małostki i ułomności dotychczasowe różnych polskich filmów, ich śmiesznostki i powtarzające się wady.

Niestety! z wielkiej rzeki robi się mały strumyczek, zasychający powoli w trzęsawiskach szablonu. Scenarjusz, pomyślany kapitalnie, zawiódł na całej linji. Historja wielkiego wysiłku i poświęcenia zmieniła się w anegdotę, w ckliwą i banalną historyjkę o latających tam i z powrotem czerkiesach, o gnębionej przez oficera kozackiego panience, której cnota jest niewzruszona i która zachowuje się akurat tak samo, jak bohaterka „Wiernej rzeki" Żeromskiego. Tylko, że to, co u tamtej jest bohaterstwem—w „Roku 1914" jest banalnością. Analogje z „Wierną rzeką" narzucają się szczególniej w scenach „panienki ze dworu" z oficerem, który spostrzega chustkę zakrwawioną i któremu „panienka" pokazuje wówczas rozciętą umyślnie rękę. Należało się zdobyć na trochę więcej oryginalności w scenarjuszu, który aż trzej autorowie opracowywali. Należało zwrócić baczniejszą uwagę na te sceny, które w jakikolwiek sposób mogłyby przypominać inne utwory. Oczywiście jest to reminiscencja mimowolna, ale szkodzi jednocześnie dwum filmom: i obrazowi Szary i „Wiernej rzece", gdyby miało kiedyś dojść do nowej realizacji tego przepięknego dramatu.

Zasadniczą, istotną wartość „Roku 1914" stanowią natomiast sceny początkowe i prześliczne zdjęcia. Nie mówię tu tylko o plenerach, bardzo ładnych i zasługujących na uznanie. Oklaskiwano również sceny, w których bohater filmu, walcząc z gorączką, widzi oczyma wyobraźni bitwę. Sceny te udały się doskonale i reżyserowi Henrykowi Szarze i operatorowi. Gra aktorów jest bardzo nierówna. Są role znakomicie grane, są i takie, które nie wykraczają poza ramy poprawności. Znakomity jest Kurnakowicz, z którego film polski będzie miał istotną pociechę. Miał kilkanaście scen, a każdą zagrał kapitalnie. Doskonałą sylwetkę oficera czerkieskiego dał Wasiljew - Sikiewicz, bardzo dobry był Fritsche. Natomiast role bohaterki i bohatera — Smosarska i Conti — zbanalizowane przez autorów scenarjusza — nie ożywiły się w grze, nie nabrały rumieńców i pozostały blade i nikłe. Nie jest to, jak opwiedziałem, jedynie winą artystów, którzy włożyli dużo trudu i wysiłku w odtworzenie tych ról anemicznych, przypominających znane i wielokrotnie powtarzane na filmie szablony.

To są blaski i cienie „Roku 1914". Niestety, rozłożono te blaski i cienie nierównomiernie, co sprawia, że film z początku rośnie w moc, a potem nagle opada, jakgdyby z sił. Odkąd z rozległych równin, po których maszeruje żołnierz polski do ukochanej ojczyzny, jęczącej w jarzmie niewoli, wkroczyliśmy w filmie na utarte szlaki banalnej historji o czerkiesach, dworku polskim, oficerach i pięknej panience — film przestał nas interesować czemś nowem, żywem, mocnem, dotąd na ekranie nie spotykanem. Wąwozy i wzgórza kieleckie, prześliczne widoki starych młynów, stawów, szumiących potoków i srebrnej rzeki olśniły nasz wzrok. Ale na wrażliwość widza nie oddziałały w takim stopniu, jak sobie tego napewno życzyli realizatorowie tego filmu, zakrojonego na wielką miarę, a wykonanego pospiesznie, ukazującego wielkie zjawiska w pospolitym skrócie...

Szkoda!

t.

Głośna sprawa o kradzież biżuterji





P. CIUNKIEWICZOWA,
(FOTOGRAFJA Z PRZED KILKUNASTU LAT) (ZDJĘCIE PRZED SAMEM ARESZTOWANIEM)

Humor z za kulis

Świetnemu artyście Teatru Narodowego, Wiesławowi Gawlikowskiemu, tak się zdarzyło, że otrzymał jedna po drugiej trzy role profesorów. Po ramolu - matematyku w „Sztubie" Leczyckiego, zagrał profesora - aljenistę w „Baltazarze", po nim znów starego muzyka w „Fortepianie" Szaniawskiego...

Wobec tego koledzy postanowili, że gdy Gawlikowski otrzyma jeszcze jednego uczonego, wystarają się dla niego o tytuł doktorski: *actoris causa*...

. . . .

Do kawiarni wpada rozentuzjazmowany jeden z młodszych artystów.

— Wiecie koledzy ten „Płomień" w Nowym!...

Od stolika zrywa się znakomity aktor-reżyser:

— Jak Boga kocham, nie byłem tam wcale!...

Z.

Urzędnik państwowy a Spółdzielczy Bank „Kredyt Urzędniczy".

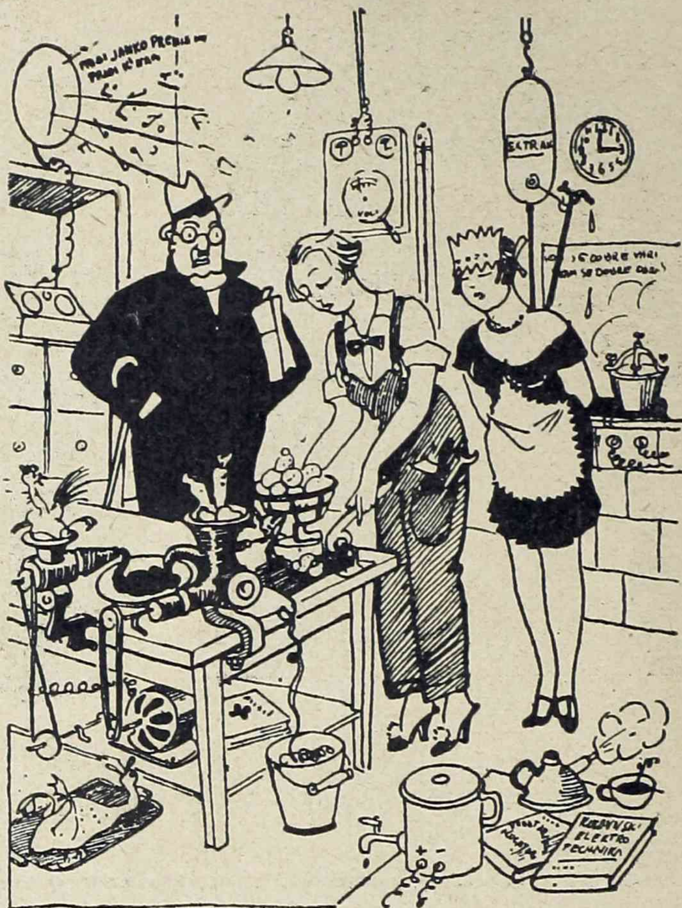
Z ostatnich artykułów umieszczonych w tygodniku „Świat", daliśmy możność naszym czytelnikom zapoznać się z charakterem i działalnością Banku „Kredyt Urzędniczy" z siedzibą swoją w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 129.

Obecnie, jak Zarząd tego Banku poinformował prasę stołeczną, na konferencji prasowej w dniu 24 lutego b. r. rozpoczęto wypłacać grupami przyznane pożyczki w sumie od 200 do 1500.— zł. już od dnia 20 lutego b. r.

Prócz wypłacanych już pożyczek w dalszym ciągu Bank je wypłaca — (wojskowym, urzędnikom państwowym i komunalnym) oraz w dniach najbliższych rozpocznie finansowanie urlopów wypoczynkowych i kuracyjnych. Pożyczki, jak również koszty pobytu w miejscowościach kuracyjnych urzędnicy będą spłacali w ratach miesięcznych lub kwartalnych, przez okres roczny.

Kredyt i pożyczkę otrzyma każdy przyjęty na członka. Zaznaczyć należy, że każdy z członków jest przez Bank ubezpieczony w T-wie Ubezpieczeniowym „Przyszłość", które pozostaje w ścisłym kontakcie z największym w świecie koncernem „Fenix" w Wiedniu.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Co! jeszcze niema obiadu? Idę do restauracji.
— Poczekaj przynajmniej kwadransik.
— I tak nie będzie gotów.
— Ale ja zdążę się ubrać, żeby wyjść z tobą.

Tajemniczy turysta

W licznych wędrówkach tatrzańskich spotykaliśmy dość często latem jakąś dziwną postać w górach. Ubrany był dość starannie, miał ze sobą pelerynę ciepłą jak się patrzy. Przez plecy przewieszał gruby stosunkowo, brezentowy worek do spania. U boku przytraczał sobie małą torebkę skórzaną. Kapelusz miękki, płócienny. Buty nosił podkute, ale lekkie, wygodne — ubranie normalne, turystyczne — bronzowe. Wogóle cały jego strój był o wiele staranniejszy niż normalnego taternika studniarza. Tylko uderzał zupełny nieomal brak ekwipunku. Ani worka, ani czekanu. A przecież worek do spania mówił, że człowiek ten bynajmniej nie zawsze zwykł nocować po schroniskach.

Spotykało się go też w miejscach najbardziej niespodziewanych. Ot — szybkim tempem schodzimy ze szczytu, aby przed zapadającą ciemnością gdzieś trafić — p. C. właśnie wybiera się na szczyt. Na ostrzeżenie odpowiada, że idzie oglądać wschód. Kiedy indziej siedzi sobie w lesie nad strumieniem. Znów kilka wskazówek co do tego, gdzie jest schronisko — p. C. dziękuje, ale zapowiada, że tu zostanie.

Kiedyś rozgadałem się z nim na dobre. Nie było w nim krzty mizantropji — opowiadał mi o swoich sposobach bycia w górach. Nienawidził ciężarów. Zawsze chciał wędrować na lekko i nielubił się krępować schroniskami. Spał, gdzie wypadło. Worek do spania, który zawsze nosił, wszędzie mógł mu zastąpić łóżko i pościel.

— No dobrze, ale cóż pan je? — zapytałem.

— Cukier.

I natychmiast wyliczył, ile kaloryj zużywa, i ile cukier mu daje. Prawda, jest pewien deficyt, ale ten znakomicie pokrywają zapasy wewnętrzne. P. C. dowodził, że tego rodzaju djeta jest idealna — przedewszystkiem bowiem pozwala dźwigać minimalną ilość ciężarów. A wytrzymać ją niezmiernie łatwo, gdyż żołądek zupełnie nie potrzebuje pracować przy trawieniu cukru, więc nie daje się odczuwać braku „paszy objętościowej". Pamiętam, że słuchałem tego wszystkiego z niedowierzaniem. W parę lat później skorzystałem przecież z tej lekcji i przyznam się, że doświadczenie własne całkowicie potwierdziło, co mówił p. C. Na wycieczkach można się przez długi czas obywać samym cukrem (ale tylko w czystej postaci) bez żadnej szkody dla organizmu — owszem, pozwolę sobie twierdzić, że z dużym pożytkiem, zwlaszcza dla ludzi — nie pierwszej młodości.

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.*

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

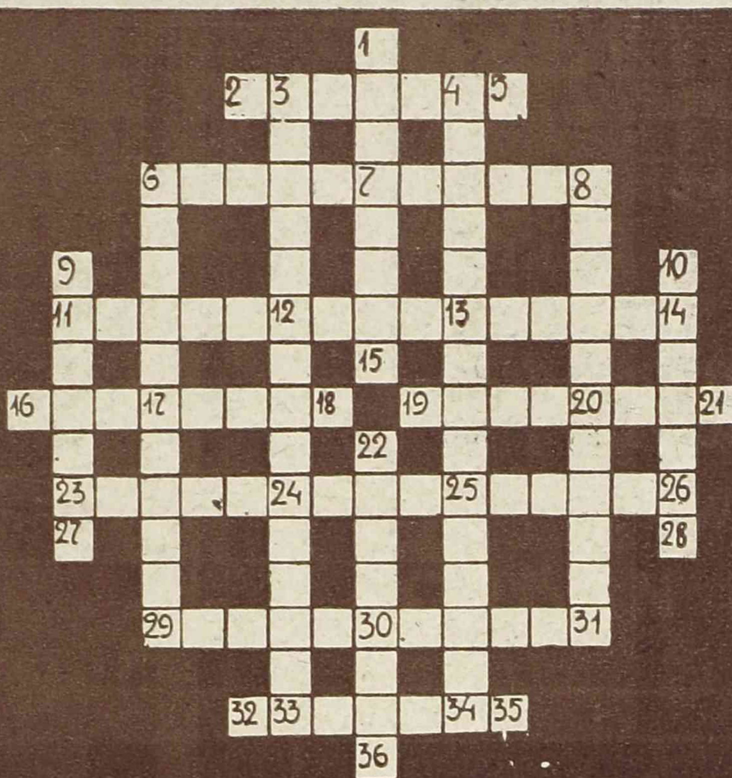
ROZRYWKI UMYSŁOWE

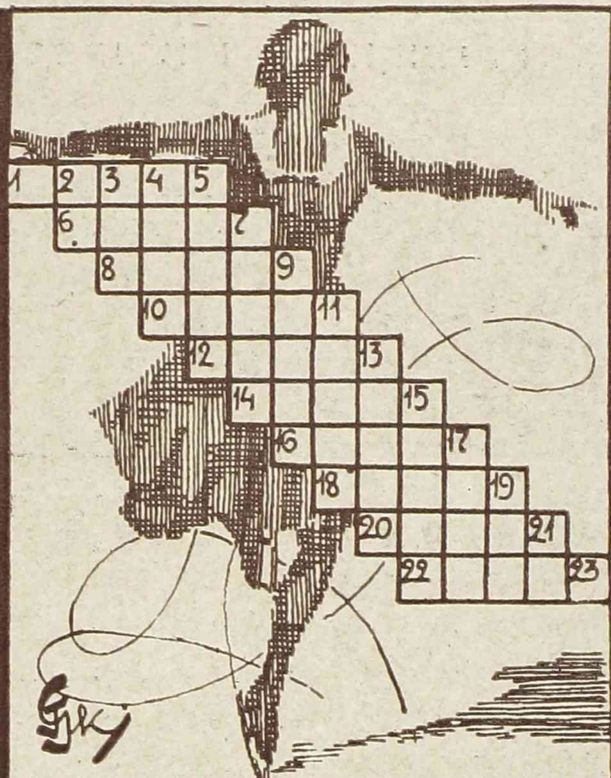
№ 13 (116) Tajemnicze dodawanie
(Za rozwiązanie 3 punkty).

№ 14 (117) Zadanie krzyżówkowe
(Za rozwiązanie 4 punkty).

№ 15 (118) Zadanie schodowe
(Za rozwiązanie 3 punkty).







ROZWIĄZANIE ZADAŃ z № 4

№ 4. ZADANIE SIATKOWE: Trop, Stal, Kwit, Wit, Obie, Dziwy, Strug, Cez, Sąd, Kos, Adam, Cez, Bulwa, Aśćka, Si, Lipa, Ob, Krój, Jaja, Kolos, Szczi, Zięba, Coś, Mielec — „Troski i biedy uczą odczuwać spokój jako szczęście" (E. Orzeszkowa).

TRAFNE ROZWIĄZANIA NADESŁALI:

pp. Augustynowicz Stefan, Bojarski Tadeusz, Herbstmanówna Dorota, Jarkowska Aurelja, Kicińska Stefanja, Klimczak Roman, Mikowska St., Roykiewicz Wacław, Sławnicki Michał, Stratilato Jan, Sułkowska Leontyna, Tietz Zygmunt, Wiśniewska Teofila, Zagajewski Adam, Zborowska Teresa, Żukowska Irena — *z Warszawy*, oraz

pp. Aleksandrowicz Jan ze Lwowa, Bugajska Marja z Kłobucka, Dorszewski Rudolf ze Świecia, Głaziński Aleksander z Mińska Mazowieckiego, Grodzicki Józef z Brześcia n/B., Jasiński Wacław z Horochowa, Jurkiewicz Eugenjusz z Wilna, Kamiński Władysław z Sochaczewa, Kolisko Mieczysław z Brześcia n/B., Krauze Józef z Żyrardowa, Krupińska Aniela z Łodzi, Kunicki Ignacy z Lublina, Lemański Zygmunt z Wilna, Ludwicki Henryk z Zagożdżona, Makowski Ignacy z Grodna, Malinowski Stefan ze Lwowa, inż. Modrzejewski Józef z Lublina, Mokrzycka Helena z Drohobycza, Morawski Janusz z Bielska, Olszewska Irena z Dęblina, Petrych Jan z Wronek, Pieracki Zygmunt z Wilna, Radomski Michał z Łodzi, Rakowiecka Helena z Lublina, Sawicka Karolina z Białegostoku, Skupińska Marta z Zamościa, Sokulski Władysław z Katowic, Sosnowski Kazimierz z Katowic, Surma Józef z Królewszczyzny, Szeliga Barbara z Siedlec, Tarnowski Władysław z Grodziska, Tobias Henryk z Kielc, Zabłocki Gabrjel z Łucka, „Tolek z Królewszczyzny", Tyblewski Wacław z Poznania, Zakrzewski Leon z Radomia, Zawadzka Anna z Ciechanowa, Życzyński Bohdan z Nowogródka.

NAGRODY KSIĄŻKOWE wylosowano dla:

p. *Stefana Augustynowicza* z Warszawy—Wandy Miłaszewskiej „Stare kąty",

p. *Ignacego Kunickiego* z Lublina — „Mieczysław Frenkiel" — Księga jubileuszowa.

№ 13 Tajemnicze dodawanie

Znaczenie liter: A — Cecha charakteru, B — Przyrząd do mierzenia ciężaru, C — Współzawodnicy, D — Piwo angielskie, E — Ozdoba czaka ułańskiego, F — Zaimek, G — Choroba serca, H — Upominek, I — Opłaty mostowe wzg. rogatkowe, J — Zaimek, K — Tłuszcz wieprzowy, L — Imię żeńskie zdrobniałe, Ł — Inaczej: pogodna, radosna, M — Rzeka w Polsce, N — Zjawisko fizyczne, O — Termin malarski, P — Treny obozowe, R — Lasy liściaste.

№ 14 Zadanie krzyżówkowe

Wstawiając litery w wolne pola figury, utworzyć 28 wyrazów, czytanych od liczby do liczby, w kierunku poziomym i pionowym.

Znaczenie wyrazów poziomych: 2—5. Część świata, 6—7. Rodzaj kożuszka, 7—8. Chór, 11—12. Część widowni, 12—13. Polecenie, 13—14. Reguła, 16—18. Zanikająca ozdoba głów niewieścich, 19—21. Imię męskie, 23—24. Imię żeńskie zdrobniałe, 24—25. Dowód niewinności, 25—26. Następca tronu, 29—30. Rzeka w Anglji, 30—31. Bóstwo perskie, 32—35. Znieczulenie.

Znaczenie wyrazów pionowych: 1—15. Okres pracy przygotowawczej, 3—12. Imię męskie, 4—13. Zatrudniony przy robotach ziemnych, 6—17. Zwierzę z rodziny gryzoniów, 8—20. Rodzaj podcienia, 9—27. Imię męskie tureckie, 10—28. Kramik (wspak), 12—24. Inaczej: określenie, 13—25. Strzelcy francuscy, 17—29. Termin handlowy, 20—31. Tytuł wojskowy kozacki, 22—36. Rodzaj utworu literackiego, 24—33. Choroba, 25—34. Rzeka na Syberji.

№ 15 Zadanie schodowe

Wstawiając litery w pola figury, utworzyć 22 wyrazy o podanem znaczeniu, czytane w kierunku poziomym i pionowym.

Znaczenie wyrazów poziomych: 1. Postać z „Pana Tadeusza", 2. Zwierzę domowe, 3. Ustępstwo z ceny, 4. Naczynie do picia, 5. Poczwarka motyla, 6. Łaźnie w jęz. obcym, 7. Nagromadzenie pojazdów, tamujące ruch, 8. Pieniądz staropolski, 9. Hałaśliwe dobijanie się, 10. Polecenie.

Znaczenie wyrazów pionowych: 2. Rzeka na Syberji, 3. Zakład gastronomiczny, 4. Trunek, 5. Stolica Afganistanu, 7. Bogacz, 9. Przyimek, 11. Ozdoba roślin, 13. Staropolska miara objętości, 15. Prawodawca grecki, 17. Oprawa obrazu, 19. Czasokres, 21. Zaimek.

Za trafne rozwiązanie niniejszych zadań Redakcja „Świata" przeznacza 3 nagrody książkowe.

CENY OGŁOSZEŃ

Okładka I tyt. Zł. 700.—.
,, II ,, 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—, 1/8 75.—
,, III ,, 450.—, 1/2 225.—, 1/4 112.50
,, IV ,, 600.—, 1/2 300.—
Za tekstem . . . . Zł. 600.—, 1/2 300.—, 1/4 150.—

Ogłoszenia w tekście i z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej.
Kronika towarzyska za 1 mil. szerok. jednej szpalty 2 zł.
Dział Tam Kupujcie ,, ,, ,, ,, ,, ,, 1 zł.
I-sza strona tekstu (obok artykułu wstępnego) za 1 mil. szerokości jednej szpalty . . . . 3 zł.

Ceny ogłoszeń w numerach specjalnych oznacza się dla każdego numeru oddzielnie.

Hurtownie ,,Świata'': dla prowincji Tow. „Ruch", Sp. Akc. Warszawa, Al. Jerozolimska 63, telefon 670-87, dla Warszawy: „Czytajcie" Krak.-Przedm. 60, telefon 210-00.

CENY PRENUMERATY: w Warszawie odbiór na miejscu miesięcznie 6.— zł., kwart. 18.— zł., półr. 34.— zł., rocznie 68 zł., z odnoszeniem do domu mies. 6.50 zł., kwart. 19.50 zł., półr. 37.— zł., rocznie 74.— zł., na prowincji mies. 7.— zł., kwart. 21.— zł., półr. 40.— zł., rocznie 80.— zł. Zagranicą mies. 9.— zł., kwart. 27.— zł., półr. 52.— zł., rocznie 104.— zł.

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ: w WARSZAWIE: Administracja „Świata", Szpitalna 12. Telefon Administracji 504-00 i 501-51. Konto czekowe P. K. O. 3755 oraz wszystkie większe księgarnie. W ŁODZI: biuro dzienników i ogłoszeń „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: Gwarna 16.

CENA NUMERU W WARSZAWIE I NA PROWINCJI **1 zł. 40 gr.**

Druk. Galewski i Dau, Warszawa

P